

IVO ANDRIĆ

DOM NA ODLUDZIU

WSTĘP

Dom to piętrowy, na stromym Alifakovacu stoi nieco na uboczu u samego szczytu. Na parterze, gdzie zimą bywa ciepło, a latem chłód panuje, mieści się okazała sień, duża kuchnia i od tyłu dwa mniejsze ciemne pokoiki, na piętrze zaś trzy duże pokoje, a jeden, ten od frontu, wychodzący na rozległą dolinę sarajewską, ma obszerny balkon. Budową i rozmiarami przypomina bośniackie wykusze, ale nie jest zbudowany jak one z naturalnego białego drewna, lecz pomalowany ciemnozieloną farbą; balustrada też nie jest z krągłych „trabozan”, lecz z płaskich desek, przyciętych tym samym sposobem, co deski na balkonach domów alpejskich. Wzniesiono go w latach dziewięćdziesiątych – dokładnie w 1887 roku – kiedy tutejsi ludzie zaczęli budować domy „według planu”, o wyglądzie i rozkładzie na austriacką modłę, co im się zresztą poniekąd udawało. Gdyby to miało miejsce zaledwie kilkanaście lat wcześniej, dom ten postawiono by w starym stylu tureckim, jak większość domów na Alifakovacu, a nie w „szwabskim”, jak budowano w równinie nad Miliacką. Wówczas szeroka sień u wejścia na dole zwałaby się z turecka „ahar”, balkon zaś na piętrze „divanhaną”; całość nie stanowiłaby mieszaniny stylów, kiedy to życzenia i plany szły w jednym kierunku, po linii czegoś nowego i nieznanego, a ręce, oczy i całą istotę człowieka ciągnęło w zgoła innym, staroświeckim, który już dawno tutaj się zadomowił. Charakter i rozkład sprzętów, barwy ścian, żyrandole wiedeńskie z kryształów i mosiądzu, kaflowe piece bośniackie „z garnuszkami” i kilimy rodzimej roboty, którymi są wymoszczone pokoje, też świadczą o tej dwoistości. Zarówno wewnątrz, jak zewnątrz rzuca się w oczy kolizja dwóch epok i dowolna mieszanina stylów, wszystko to jednak stwarza atmosferę przytulnego miejsca zamieszkania. Widać, że tutejszym mieszkańcom nie

bardzo zależy na wystroju zewnętrznym rzeczy ani na ich nazwach, ale umięją brać z nich wszystko, co może uczynić wygodnym, acz skromnym życie ludziom, którym bardziej zależy na samym życiu niż na tym, co o nim można wymyślić, powiedzieć lub napisać. Tutaj rzeczy i budowle w swojej pierwotnej bezimienności i doskonałej prostocie służą najzupełniej naturalnie skromnym i szczęśliwie bezimiennym ludziom do zaspokojenia ich niewymyślnych i nielicznych potrzeb. Tu panuje ów spokój, o którym wiecznie marzymy, lecz z trudem udaje się nam go osiągnąć, i jakże często, bez istotnej potrzeby, a ze szkodą dla siebie, uciekamy od niego.

Przyjemnie można żyć i pracować w tych sarajewskich domach. W tym zaś domu, o którym teraz jest mowa, kilka lat temu spędziłem całe lato. Są to zatem wspomnienia z owego domu i z owych czasów. A właściwie tylko niektóre z tych wspomnień; te, o których mogę mówić i potrafię coś powiedzieć.

Jasny letni ranek. Dawno się rozwidniło; wyświeżony kąpielą, jestem już po śniadaniu, ale wciąż jeszcze przenikają mnie od stóp do głowy, niby jakieś mgliste opary, bezkształtne, bezimienne senne widziadła. Przeżarły mnie do szpiku kości, zanim mną owładnęły.

Ludzie o tej porze w tym mieście zabierają się do pracy. Zaczyna się powszedni dzień wszystkich, a więc także mój. Tylko że gdy oni zasiadają do konkretnej roboty, mając mniej więcej określony cel przed sobą, ja z roztargnieniem wodzę oczyma dookoła po obrazach i przedmiotach, jakby były obce i nowe, udając nieświadomość czekam, aż moja praca zacznie się we mnie. Z naiwną chytryością (kogo ja tu oszukuję i po co) szukam zerwanego wczoraj wątku mojej opowieści, starając się zachować postawę kogoś, kto niczego nie szuka, nasłuchuję, czy odezwie się we mnie jej głos, gotów cały zamienić się w opowieść, we fragment opowieści, w

jedną scenę albo w jedną postać, lub choćby nawet w coś mniejszego: w chwilę jednej sceny, w jedną jedyną myśl czy gest portretowanego. I tak krążę dokoła swego zamierzenia, na pozór obojętny i niewinny, niby myśliwy, co odwraca głowę od ptaka, na którego poluje, a którego w gruncie rzeczy ani na chwilę nie spuszcza z oka.

Muszę tak postępować, stało się to już moją drugą naturą. Bo w chwili gdy błysnie promyk światłą dnia i gdy uświadomię sobie swój zamiar, a celowi swojemu nadam miano, wiem, co będzie. Delikatniejszą od najcieńszej mgiełki rozwieje się całą ta atmosfera bezimiennych mar, a ją znajdę się w znanym pokoju, taki, jaki figuruję w „dowodzie osobistym” lub na liście mieszkańców swojego domu, człowiek o ustalonych „personaljach”, bez żadnych powiązań z osobami czy scenami z opowieści, o której przed chwilą rozmyślałem, daleki od owego zerwanego wątku, którego, nie przyznając tego nawet przed sobą, z upragnieniem i wzruszeniem szukałem. A wtedy, wtedy – dobrze to wiem – nagle poszarzęję mój dzień, który dopiero się zaczął, i przede mną zamiast mojej opowieści i mojej pracy, odsłoni się nieznośna pospolitość czyjgoś życia, co nosi moje imię, a nie jest moim, i zabójcza pustka czasu, która nagle gasi całą radość życia, a nas z wolna zabija.

Oto, dlaczego jestem tak przesądnie i śmiesznie ostrożny, i tak niezmiernie cierpliwy; mogę tak wiele znieść bez wytchnienia i ruchu, zaczajony pod kopułą tego ranka niby na dnie jakiegoś świetlistego oceanu.

Ale zdarza się, że mój dzień zaczyna się inaczej; nie czatuję i nie czekam na swoje opowieści, lecz one na mnie, i to kilka naraz. W półśnie, gdy jeszcze oczu nie otworzyłem, niby żółto-różowe pąsy na zapuszczonej rolacie mojego okna, zadrzą we mnie same przez się pozrywane wątki

rozpoczętych opowieści. Narzucają się, budzą mnie i wprawiają w zakłopotanie. A potem, gdy już jestem gotów i siadam przy biurku, nie przestają cisnąć się pod pióro postacie z opowieści, strzępy ich rozmów, myśli i postępów wraz z mnóstwem wyraźnych drobiazgów. Teraz to ją muszę się bronić i chować przed nimi, i wyłapując jak najwięcej szczegółów rzucać na rozłożony papier.

BONWAL PASZA

Chyba największy, natrętny krzykacz pośród moich gości to brzuchaty arogant Bonwal pasza^[1] (właściwie Claude-Alexandre comte de Bonneval), Francuz znamienitego szlacheckiego rodu.

Jest to pięćdziesięcioletni silny mężczyzna, zabijaka, utracjusz, smakosz i birbant; słynie z ciętego dowcipu i pewności siebie, tak typowej dla francuskiego magnata, z cwaniactwa awanturnika i syna marnotrawnego, który uważa, że człowiek tylko tyle jest wart, ile umie radzić sobie na świecie i narzucić innym. Niezrównany kawaler wobec dam, ryzykant w grze, a straszny w pojedynku. Skompromitowawszy się w armii francuskiej, zbiegł do wrogów swojego króla i przeszedł na służbę dworu wiedeńskiego. Tutaj, pod dowództwem księcia Sabaudzkiego wybił się tyleż swoimi zdolnościami, co rozpustnym życiem i szukaniem zwady. Wreszcie rozgoryczony, w obawie przed ręką sprawiedliwości, porzucił służbę austriacką i udał się do Wenecji, skąd umknął do Turcji.

Zamierzał dotrzeć do Istambułu, by ofiarować sułtanowi swoje usługi, wiedzę i doświadczenie w walce z Wiedniem, i tym sposobem pomścić doznane zniewagi, ale podejrzliwe władze tureckie nie puściły go poza Sarajewo. Tutaj wynajął obszerny dom na Kovaczach na tymczasowe mieszkanie dla siebie, świty i służby. Pobył w Sarajewie niespodziewanie się przedłużał. Mijały miesiące, minął też cały rok i zbliżał się już rok drugi. Dla zabicia czasu i nudy, w gorącej wodzie kąpany przedsiębiorczy Francuz, który posiadał rozległą wiedzę techniczną, jął badać w okolicy Sarajewa i w środkowej Bośni opuszczone kopalnie. Robił to nonszalancko jak ktoś, kto ma szczególnie dar wycucia materii, łatwo

[1] Pasza lub basza (tur.) – tytuł wysokich dostojników wojskowych i cywilnych.

radzi sobie z siłami tkwiącymi w ziemi, a potrafi wykryć w jej wnętrzu skarby. Poszukiwał, jak mówiono, złota, a znalazł węgiel kamienny. Człowiek jowialny, towarzyski, nawet w tym nieufnym, zamkniętym środowisku poruszał się swobodnie i z łatwością nawiązywał kontakty z ludźmi wszystkich wyznań i stanów.

Tymczasem dyplomacja austriacka robiła wszystko, aby zdyskredytować i zniszczyć swojego generała-dezertera, zanim zdoła dotrzeć do Konstantynopola i rozwinąć tam wrogą działalność wobec Wiednia. Ambasador francuski w Turcji też miał swoje powody, by nie cieszyć się ani trochę z przybycia francuskiego panka, renegata i zawadiaki; dlatego nawet nie raczył odpowiadać na jego rozliczne listy. W Sarajewie zaś agenci austriaccy usiłowali go otruć. Ale Bonwal nie omieszkał zaprzyjaźnić się z dowódcami janczarów, którzy roztoczyli nad nim opiekę i udzielali pomocy we wszystkim. Wówczas Austriacy już to przekupstwem, już to szalbierstwem zdołali uzyskać zgodę Wysokiej Porty na jego ekstradycję. Wobec groźby odstawienia w pętach do granicy austriackiej, gdzie czekała go niechybna śmierć; Bonwal za radą sarajewskich przyjaciół przeszedł na islam. Dla tego filozofa i sceptyka zmiana religii nie przedstawiała trudności, a za jednym zamachem pokrzyżował wszelkie zamysły swoich adwersarzy. Obecnie nie można było wydać go jako muzułmanina żadnemu państwu chrześcijańskiemu. Gdy zaś po rebelii styczniowej nastąpiła zmiana rządu i zarysowała się możliwość wojny z Austrią, Turcy sami wezwali Bonwala do stolicy, gdzie powierzono mu stanowisko instruktora artylerii.

Blisko siedemnaście lat spędził hrabia Bonneval alias Ahmed pasza w Istambule z wszystkimi perypetiami, upadkami i wzlotami, jakie każda służba na wysokim stanowisku w Turcji musiała pociągać za sobą. Po dawnemu pędził żywot wesoło i rozrzutnie, po swojemu niczym nie skrępowany, sprzymierzając się lub popadając w konflikty bez ładu

i składu z Turkami i chrześcijanami, nie ulegając nikomu i niczemu, podporządkowując się tylko swojej pasji wzięcia odwetu na Austrii.

Obowiązki tureckiego paszy pełnił sumiennie, co nie przeszkadzało, że prowadził korespondencję z wybitnymi osobistościami we Francji, między innymi z Voltaire'em. Nieomal do ostatnich chwil życia wydawał uczy, na których wywijał hołubce i wyśpiewywał śpiewki żołnierskie. A jednak zamknął oczy z uczuciem żalu, że jego prochy nie spoczną wraz „z prochami przodków”. Przy śmiertelnym łożu o jego duszę prowadzili targi hodźowie i księża katolicy z Pery, przejęci troską i jedni, i drudzy o jego zbawienie wieczne, o które sam nigdy się nie troszczył. Zwyciężyli hodźowie. Pochowano go według obrządku muzułmańskiego na najpiękniejszym cmentarzu stolicy.

Ale ten Bonwal, który wykrzykuje pod moimi oknami i dobija się do moich drzwi, chcąc wtargnąć na karty mojej opowieści, to nie pasza z okresu tureckiego, lecz ten i taki, jakim był, gdy jako zbieg, a potem renegat czekał blisko dwa lata w Sarajewie na zezwolenie wyjazdu do Istanbułu. Gdyby nawet udało mi się, nie odpowiadając na jego krzyki, uniknąć tej wizyty, wiem z całą pewnością, że znowu tu przyjdzie i niewątpliwie go ujrę.

Raczej niskiego wzrostu, nadmiernie otyły, o nieproporcjonalnie dużej głowie, mówi dużo i głośno, śmiejąc się często, porusza się nerwowo, jakby stąpał po rozpalonym bruku, swobodnie i zuchwale, jakby zawsze i wszędzie był u siebie i na swoim. Zawsze dokoła wywołuje zamieszanie. Nigdy nie jest sam. Oprócz dwóch ludzi z jego osobistej ochrony stale mu towarzyszy ktoś ze służby lub jakiś przyjaciel.

Nosi eleganckie ubiory zachodniego kroju, ale zbyt jaskrawe, zawsze z jakimiś dodatkami lub bronią, co zwraca uwagę na jego fantastyczną postać: jakaś szuba, czapka futrzana, pióropusz lub medal. Twarz ma też osobliwą. Na potężnej czaszce ciężka peruka, często przekrzywiona, pod

którą można dostrzec niekiedy krótko ostrzyżone, gładko przyczesane, jeszcze zupełnie czarne włosy. Nos perkaty, kartoflany. Ogromne, niezwykle ruchliwe uszy, zawsze czerwone, czerwieńsze nawet od samej twarzy, wyraźnie bardzo wyczułone nie tylko na lada szmer i dźwięk, lecz na wszystko, co się wokół dzieje. Dziwnego kształtu i jak u niemowlęcia czyste oczy niby dwa nieruchome, obojętne światełka rozjaśniają tę twarz. Twarz ta nieustannie się zmienia; to jest pogodna i życzliwa, to łobuzersko drwiąca, to dumna i pełna pychy, to znów śmiertelnie groźna. Nad tymi oczami prawie nie ma brwi, podczas gdy jego rudawe, ostre, podkręcone wąsy rozczesane pośrodku jakby uciekają od siebie. Duże usta o pełnych zmysłowych wargach, zza których nieustannie błyskają mocne, białe zęby. Nienaturalnie długa, karykaturalnie, wyzywająco do przodu wysunięta dolna szczęka. Nic w tej twarzy nie jest skończone, regularne i na swoim miejscu jak u innych. Gdy zjawi się przed wami, zda się, że ktoś niewidoczny dla żartu i psoty wysunął nagle zza rogu groteskową maskę na kiju, żeby splatać wam figla, zaskoczyć was, przestraszyć i rozśmieszyć.

Sam fakt, że człowiek ten ma odwagę tak wyglądać i taką fizys obnosić po świecie, śmiało i naturalnie, bez cienia żenady lub usprawiedliwienia, musi budzić zdumienie i podziw. A jeżeli wdacie się z tym człowiekiem w kilkunastominutową pogawędkę, wnet zapomnicie o pierwszym wrażeniu i uznacie, że jest to twarz inteligentna, ciekawa, pociągająca, ba, nawet ładna. I nagle zrozumiecie, jak to możliwe, że tego oczajduszę, kłótnika i opoja kochało wiele kobiet w Europie, a najporządniejsi ludzie szukali jego towarzystwa, korespondowali i przyjaźnili się z nim.

Sarajewscy kupcy i „porządni ludzie” stronią od tego niespokojnego cudzoziemca bez skrupułów, ale wśród złotej młodzieży – synalków zamożnych bejów^[2] i licznych niezadowolonych janczarów, ma sporo

[2] Bej, beg (tur.) – tytuł dostojnika tureckiego. (Przyp. tłum.)

przyjaciół i zwolenników, szczerze mu oddanych, którzy nie potrafią wyzwolić się spod uroku, jaki roztacza ten groteskowy, ale wcale nie śmieszny awanturnik i szalawila.

On żyje w wiecznym pośpiechu, kierując się we wszystkim swoją szaloną, ale bystrą głową; filozofię życia ma we krwi. Cele jego ulegają kapryśnym zmianom, ale dąży do nich z niezmienną odwagą po trupach; Zniewala ludzi, często obchodzi, a jeszcze częściej łamie prawa i urzeczywistnia swoje zachcianki i zamysły, zawsze starając się uchodzić za kogoś innego, niż jest w rzeczywistości, i nic sobie z tego nie robi, lecz bezczelnie drwiąco patrzy na zwykłych ludzi, którzy przestrzegają przepisów i ładu, jakby był stworzony i istniał li tylko po to, żeby zaskakiwać i wprawiać w zakłopotanie wszystkich dokoła.

Umie kochać i nienawidzić namiętnie i głęboko; przez całe życie łatwo nawiązywał kontakty z ludźmi, a jeszcze łatwiej popadał w zatargi, sto razy był w wielkich tarapatkach, ale zawsze wychodził z nich obronną ręką. Hojny, z szalonym wielkopańskim gestem wobec każdego, potrafił być sprytny i bezwzględny, jeżeli musiał znaleźć i zdobyć pieniądze. Żył w wiecznej euforii osobliwego gatunku i emanował ją szeroko dokoła. Śmiechem zarażał nawet tych, których mowy nie znał i którzy go nie rozumieli, a swoim wyniosłym gniewem w straszliwych wybuchach uderzał i miażdżył niczym rzeczywistą siłą i bronią. Potrafił też gardzić kastą, do której sam należał, i posługiwać się obficie i zręcznie zarówno jej przywilejami, jak i przesądami. Nie znał, co to litość (zwłaszcza wobec siebie) ani zawiść, tęsknota czy tchórzostwo. Niesyty miłości zmysłowej, nigdy i nigdzie nic nie było w stanie pohamować go, zawsze i wszędzie kochał tylko jedno jedyne bezimienne ciało kobiece. W niczym nie przypominał pięknych uwodzicieli, ale nawet taki brzydka i raptus umiał zbliżyć się i podbić serca niewieście; na pewno we wspomnieniach wielu pań pozostał jako okrutna, lecz droga pamiątka po czymś

wspaniałomyślnym i serdecznym, co zachowały po nim i jego przelotnych miłostkach wojennych. Mimo podeszłego wieku trzymał się znakomicie (ludzie będący w jego służbie podczas pobytu w Sarajewie cuda prawił o jego sile). Jadł i pił za trzech, ale mógł też całe tygodnie spędzić o chlebie i wodzie. W wielu wojnach i bitwach, w których brał udział (jako trzynastoletni pędrak już był kadetem w marynarce francuskiej!), kilka razy odniósł rany, jedną z najcięższych i najślawniejszych zaś w ostatniej wojnie austriacko-tureckiej. Dwa naboje sprzęgnięte łańcuszkiem, które miota potężna strzelba turecka, tak go ugodziły, że rozplątały mu brzuch. Myślano, że się nie wyliże, ale pewien lekarz wojskowy – Flamandczyk, dokonał arcytrudnego zabiegu chirurgicznego. Zastawił podobno wielką ranę srebrną płytką i zaszył tak zręcznie, że Bonwał mógł potem harcować na koniu i maszerować, jeździć na łowy i uprawiać szermierkę jak najzdrowszy młodzieniec. (Ponieważ Bonwał miał zwyczaj często „pękać ze złości”, jego flegmatyczny lekarz utrzymywał z dumą, że pan hrabia może pęknąć w każdym innym miejscu, z wyjątkiem tego, w którym on zeszył i załatał).

Jeżeli to też nie jest jedną z setek zmyślonych anegdot, jakie krążyły o nim!

Taki był ten Francuz – szalona pałka, jak go nazywano w Sarajewie, człowiek gwałtowny, po trosze śmieszny, nieobliczalny, a jednak pociągający; zaskakiwał i poruszał spokojne, zasobne Sarajewo podczas swojego blisko dwuletniego pobytu w tym mieście. A potem zostało po nim długie wspomnienie; we wspomnieniu tym żył upiększony, nawet wówczas, gdy po jego niesamowitej sile pozostała tylko garść popiołu w starym istambulskim turbe^[3]. Dlatego taki dobija się teraz do moich drzwi, chcąc wtargnąć poza kolejnością, w imię swojego bonwalskiego pierwszeństwa, które on uważa za wieczne, wszędzie obowiązujące i

[3] Turbe (rur.) – grobowiec w meczecie (przyp. tłum.)

niezbywalne. Ale ja nie lubię raptusów i pyszałków, każę mu więc czekać. Jeżeli nawet wypada nam niekiedy ustępować żywym, nie musimy nieboszczykom. Zresztą nie czeka sam, lecz w dobrej kompanii. Jest tu jeszcze jeden pasza. Wiem, że dumny hrabia Bonneval nigdy i za żadne skarby świata nie ustąpiłby ani trochę, nawet tyle co brudu za paznokciem, ze swojego prawa pierwszeństwa, z którym przyszedł na świat i które bez uszczerbku przeniósł przez swoje szalone, niezwykle życie, ale ja nie potrafię być głuchym na to wołanie, chociaż wcale nie jest natarczywe, a raczej prawie niedosłyszalne.

ALI PASZA

Pod moimi oknami w porannym chłodzie przejeżdża od czasu do czasu były wezyr mostarski ze swoją świtą, Ali pasza Rizvanbegović Stoczević.

Po ilości kopyt i tętencie poznają, kiedy jedzie jako wezyr i pan Hercegowiny, a kiedy jako pokonany jeniec. Gdy mija mój dom jako namiestnik sułtana i moczarsz, tylko niedbale skinie ręką, nigdy się nie zatrzymując, a gdy jako niewolnik i skazaniec, przystaje na chwilę pod moim oknem i zamienia ze mną kilka zwykłych słów. Zarówno w pierwszym, jak i drugim wypadku tymi częstymi powrotami, rzecz jasna, dyskretnie mi przypomina, żebym otworzył mu furtkę do mojej opowieści i udzielił należnego miejsca.

Przyszedł na świat w 1783 roku w rodzinie stolackiego Zulfikara Rizvanbegovicia, który miał sześciu synów. Naraziwszy się surowemu i krewkiemu ojcu, wybrał się za młodu do Turcji, gdzie spędził kilka lat, a wrócił do Stolacu dopiero po ojcowskiej śmierci, i to z pełnym trzosem. Gdzie był? Jak zdobył fortunę? Wielu zachodziło w głowę, ale nikt nigdy dociec tego nie mógł. Ali aga^[4], jak wtedy jeszcze go zwano, był jednym z tych, o których można dowiedzieć się tylko tego, czego oni sami chcą, żeby wiedziano.

Wkrótce po powrocie do domowych pieleszy rozpoczął nie przebierając w środkach długą walkę ze swoimi braćmi i innymi ludźmi z dobrych domów w swoich rodzinnych stronach o pozycję pierwszej osobistości w Hercegowinie. Szczególnie długo i zapamiętałe zwalczał swojego brata Mehmeda, zwanego Hadżunem „hutowskim siepaczem”. Wreszcie go zakatrupił pod stolacką twierdzą po krótkiej prawdziwej

[4] Aga (tur.) – stopień wojskowy w Turcji. (Przyp. tłum.)

wojnie, w której raju^[5] pomagała Ali adze przeciwko zniechwalonemu Hadżunowi, został wtedy sam na placu boju.

Czasu wielkich rebelii panów bośniackich przeciwko sułtanowi około 1830 roku – Rizvanbegović zawsze stał przy boku władcy. A po złamaniu oporu Bośniaków Hercegowinę wyłączono z Bośni, pierwszym zaś wezyrem w Mostarze mianowano kapitana Rizvanbegovicia w dowód uznania za wierną służbę. Był to też rezultat wieloletnich zabiegów Ali paszy. Odtąd tak będzie władał Hercegowiną, jak sam powiedział po objęciu władzy: „Od dzisiaj nie macie potrzeby jeździć do sułtana. Oto wasz Istambuł – Mostar i oto wasz sułtan w Mostarze!”

Był to jeden z owych małych „królików”, którym udało się dłużej lub krócej utrzymać przy władzy w różnych prowincjach tureckich w pierwszej połowie XIX wieku, gdy rząd centralny zaczął tracić resztki sił. Rządził „swoim” krajem jak prawdziwy surowy i przebiegły tyran, lecz także jako dobry gospodarz. Nawadniał pola, zmuszał do sadzenia i budowania. Wznosił pałace, oczywiście najwięcej dla siebie i swoich, meczety i tekie^[6]; zaprowadził w Hercegowinie uprawę ryżu, oliwek i morwy oraz hodowlę jedwabników, próbował założyć nawet plantację kawy. Wyczuwszy nacisk kapitału austriackiego, pierwszy związał się z nim i zaczął sprzedawać firmom austriackim koncesje na eksport drzewa. Jednocześnie wojował i paktował z sąsiednią Czarnogórą i, co najważniejsze, szachrował i okpiwał wezyrów w Istambule i paszów w Trawniku. Przekupywał, kogo było trzeba, dając, ile należało. Zawsze opowiadał się za sułtanem i za reformami, ale w praktyce był im przeciwny w swoim paszaliu^[7]. Wzbogacił się, opływał w dostatki i znaczenie, utył,

[5] Raha (tur.) – ludność chrześcijańska w imperium osmańskim. (Przyp. tłum.)

[6] Tekie, tekkie (tur.) – klasztor mahometański. (Przyp. tłum.)

[7] Paszaliu (tur.) – okręg zarządzany przez paszę. (Przyp. tłum.)

z czterema żonami doczekał się liczego potomstwa. Tak to dwadzieścia lat bez mała sprawował rządy „surowe i sprawiedliwe” w jego mniemaniu, a samowolne i okrutne zdaniem większości poddanych. Jak wielu spośród owych małych samodziurców na terenie imperium osmańskiego, szczerze pragnął, żeby w jego paszaliu było jak najwięcej szczęśliwych ludzi, ale liczbę i rodzaj tego szczęścia wyznaczał on sam. Wszystko wskazywało, że tak będzie rządził do śmierci, a potomstwu zostawi w spuściźnie kraj i władzę. Ale u schyłku życia stary czarnoksiężnik zaplątał się we własne sieci. Gdy w roku 1850 został wysłany do Bośni Omer pasza celem ostatecznego złamania oporu możnych panów i wprowadzenia nizam^[8], usiłował przeciwstawić się temu swoją tylekroć wypróbowaną chytrnością. Ale tym razem nic nie pomogły ani wykrety, ani gra na zwłokę. Siedemdziesięcioletniego wezyra mostarskiego, o już słabnącej woli i nadwątlonych siłach, przechytrył młodszy, bardziej przebiegły i brutalny sułtański muszir^[9] Omer pasza Latas. Obalił go niespodziewanie i całkowicie, pozbawiwszy władzy wezyrskiej, skonfiskował mu całe mienie, kazał aresztować, posadzić na osie i oprowadzać niby ostatniego zbója po Bośni i Hercegowinie jako memento dla ludzi, żeby „zobaczyli, komu ufali”, a potem zesłać go do Azji. Tak też zrobiono. Ale gdy Ali pasza w swojej żalosnej wędrówce znalazł się we wsi Dobryniu, w okolicy Banjaluki, został zniemacka zamordowany we śnie. Podobno któremuś żołnierzowi z eskorty wypaliła strzelba. Pochowano go w pięknym białym turbe przy meczecie Ferhad paszy w Banjaluce, rodzinę jego zaś wyprawiono do Istambułu.

Tutaj niektórzy jego synowie dochrapali się z czasem stanowisk w Wysokiej Porcie.

[8] Nizam (tur.) – regularne wojsko, ustanowione w 1826 r.; także żołnierz. (Przyp. tłum.)

[9] Muszir (tur.) – rytu! ministra i feldmarszałka w Turcji. (Przyp. tłum.)

Taki był los Galiba Ali paszy Rizvanbegovicia Stoczevicia, dostatecznie znany historii, tutaj tylko pokrótce w niepełnej relacji podany. Ale to, dłaczego pragnie on dostać się na karty opowieści i czasami jednak przystanie i zamieni ze mną kilka słów, to nie są burzliwe lata jego wspinania się w górę ani dwudziestoletni okres pomyślnego panowania, nie jest też jego straszna śmierć, gdyż przynajmniej teraz rozumie, że każdy prędzej czy później ginie od swojej największej namiętności. Jemu zależy, powiada, tylko na owych piętnastu dniach, kiedy jako jeniec był konwojowany przez askerów^[10] Omer paszy, przeprowadzony przez kilkanaście hercegowińskich i bośniackich wsi i miast. Wówczas uświadomił sobie w tej wędrówce, co zostaje z człowieka, który nagle utraci wszystko i tak ogołcony, zdany na własne siły, stanie sam wobec sprzysiężonych przeciw niemu wszystkich mocy, bezradny, a niepokonany.

Ali paszą w porę dowiedział się, że Omer zostanie wysłany do Bośni jako komendant wojskowy, zaopatrzonego w szczególne pełnomocnictwa. Wiedział, kto zacz i jakiego pokroju człowiek. Uczynił wszystko, co w jego mniemaniu i na podstawie dotychczasowego doświadczenia należało, żeby ustrzec się pd tej biedy. W ciągu dwudziestu lat, odkąd rzeczywiście władza Hercegowiną, wszystko mu się zawsze udawało, a więc chyba nie ma powodu, żeby tym razem też tak nie było.

Postarzałemu, pewnemu siebie tyranowi i panu Hercegowiny zbyt dufnemu w długoletnią, wypróbowaną przebiegłość i dalekowzroczność, nawet przez myśl nie przeszło, że mogą nastać takie czasy, w których niezliczone chwytły przysłowiowej już jego chytryści okażą się przestarzałe, a nawet dla niego niebezpieczne, i że może zjawić się ktoś, kto przejrzy go na wylot i któremu on nie dorówna swoim sprytem.

[10] Asker (tur.) – żołnierz. (Przyp. tłum.)

Gdy teraz otrzymał wezwanie seraskera^[11] do stawienia się w Sarajewie i uczestniczenia w uroczystości odczytania sułtańskiego fermami^[12], Ali paszą wcale nie był zaskoczony; rozgniewał go tylko niesłuchanie oschły, ostry ton tego wezwania, ale wnet się opanował i zorientował, że nie ma sensu oburzać się i obrażać. Pozwolił, żeby wezwanie przemocowało, a następnego dnia spokojny i zdecydowany postanowił nie jechać do Sarajewa, lecz wyprawić tam syna Hafiza, który już też posiadał tytuł paszy, a wraz z nim mostarskiego włądykę^[13] Josifa.

To, zdaniem starca, wystarczyło. Najstarszy i najukochańszy syn będzie żywym dowodem i rękomią jego wierności i dobrej woli, aby jak dotąd w każdej okazji służyć sułtanowi, włądyka zaś swoją obecnością dowiedzie, jak Ali pasza właściwie pojmuje reformatorskie zamierzenia władcy. Mieli w najlepszy sposób zapewnić seraskera o oddaniu Ali paszy i przekazać mu wyrazy ubolewania, że ze względu na wiek sędziwy i chorobę nie może osobiście się stawić. Obydwom udzielił krótkich i zwięzłych wskazówek; oczywiście każdemu inne i z osobna. Zadowolony był ze swej decyzji.

Emisariusze od razu wyruszyli w drogę, zaopatrzeni nie tylko we wskazówki, lecz również w niezbędne dary i upoważnienie roztoczenia perspektyw na nowe i jeszcze większe prezenty. Jednakże ani się obejrżeli jak wrócili z niczym.

Omer pasza przyjął wysłanników w osobliwy sposób. W wartowni tymczasowego konaku przyjęto ich udanym zręcznie zdziwieniem jak nieznanym i niespodziewanym gości. Tutaj niezbyt uprzejmie powiedziano im, że nazwisk ich nie ma na liście zaproszonych osobistości.

[11] Serasker (tur.) – turecki dowódca wojskowy. (Przyp. tłum.)

[12] Ferraan (tur.) – piśmienne rozporządzenie sułtana. (Przyp. tłum.)

[13] Włądyka – dawny rytu) wysokiego dostojnika w kościele prawosławnym. (Przyp. tłum.)

Po długim czekaniu kazano przyjść jutro wczesnym rankiem, bo w ciągu dnia prawdopodobnie staną przed obliczem seraskera.

Stawili się już około siódmej, przygotowani na długie czekanie, ale oficer dyżurny zwrócił im uwagę, że spóźnili się, i od razu zaprowadził ich do konaku. Prawdziwe niespodzianki dopiero ich czekały. W obszernym przedpokoju niemal wpadli na grupę wyższych oficerów w paradnych mundurach, którzy ruszyli do wyjścia, a pośród nich od razu spostrzegli seraskera.

Bez żadnego wstępu kazał im usiąść tutaj, w przedpokoju, zwracając się do nich z jakąś roztargnioną uprzejmością, jakby w przypadkowym prywatnym spotkaniu. Sam wyprostowany jak świeca wspiera! się oburącz na rękojeści szabli. Czterech wyższych oficerów stało za nim w pozycji niemego szacunku. Dwaj posłowie zmieszani jakiś czas milczeli, podczas gdy Omer pasza nie spuszczał z nich swoich jastrzębich oczu. A gdy Hafiz pasza z wypiekami na twarzy rozpoczął przygotowane przemówienie o swojej misji, z miejsca mu przerwał.

Zawsze są mu mile widziani – powiada – i drodzy znamienici goście z tego kraju, ale przed obliczem wysłannika sułtana winien stawić się ten, kto został wezwany, a nie ten, kto nim nie jest i nie może być. Zaszło tu, jak się zdaje, nieporozumienie, on zaś nie życzy sobie i nie toleruje nieporozumień. Jest to kwestia tak ważna i tak dużej wagi są interesy państwowe, że nie można usprawiedliwiać się stanem zdrowia, bowiem chodzi tu o życie i śmierć. Ali pasza jako stary i wierny urzędnik sultański doskonale o tym wie. On mu życzy szybkiego powrotu do zdrowia, (im prędzej, tym lepiej) i oby wkrótce go tu ujrzał, by wraz z nim i innymi tutaj wezwanymi wybitnymi osobistościami mógł załatwić, co należy. Im zaś życzy szczęśliwej podróży, Serasker z młodzieńczą werwą lekko skłonił się władcy i wyszedł, a za nim jego oficerowie, pobrzękując dyskretnie szablami i ostrogami.

Ośłupieli wysłannicy ledwo trafili do wyjścia. Spoglądali po sobie bez słowa i milczkiem zastanawiali się, czy rzeczywiście na tym zakończyła się ich misja. Wreszcie na tyle ochłonęli, że uświadomili sobie, iż najlepiej będzie od razu wyruszyć w drogę powrotną. Pograżeni w ponurym milczeniu mieli możliwość rozważać po drodze sposób, w jaki zostali przechytrzeni i odtrąceni, oraz myśleć o seraskerze, jego wyglądzie i zachowaniu. W miarę jak czas upływał, wydawał im się coraz dziwniejszy i coraz bardziej nieprzyjemny. A na przedpolach Mostaru wszystko zepchnęła na dalszy plan myśl: jak się pokażą na oczy Ali paszy i co mu powiedzą.

Tymczasem sędziwy wezyr przyjął wiadomość o fiasku ich wyprawy jak rzecz najbardziej naturalną w świecie albo tylko tak udawał. Dwa dni później zabrawszy ze sobą znowu Hafiz paszę wybrał się do Sarajewa. Stanął przed seraskerem tak naturalnie i zręcznie, jakby to z dawien dawna było jego jedyne i największe pragnienie. Omer wyróżniał go pośród starszyny, okazując mu szczególne względy, ale też zatrzymał go dłużej niż innych; dopiero gdy sam wyruszył z wojskiem na Krainę, pozwolił mu wrócić do domu. Ali pasza obiecał przyczynić się do zaprowadzenia nizamu w Hercegowinie, serasker zaś oznajmił, że po rozprawieniu się z Bośnią sam przybędzie do Mostaru. Obaj dostojnicy objęli się i uścisnęli na pożegnanie.

Jeszcze z Sarajewa Ali pasza polecił swojemu kawaz^[14] baszy zebrać potajemnie trochę wyborowego wojska i obsadzić drogę wjazdową do Hercegowiny, ale cichcem, jakby to robił na własną rękę. Ledwo został wypuszczony z Sarajewa, udał się do swoich konaków u źródeł Buny, by czekać tam na rozwój wypadków.

Omer pasza po pierwszych porażkach szybko stłumił bunt, wziął w karby krnąbrnych Krainców i natychmiast pchnął do Hercegowiny majora

[14] Kawaz albo kawas (tur.) – policjant i żandarm w Turcji. (Przyp. tłum.)

Skenderbega na czele silnego oddziału. Skender beg dzięki lepszemu uzbrojeniu i większej dyscyplinie w swoich szeregach rozbił oddział kawaz baszy i wkroczył do Mostaru. Ali pasza zdołał już przedtem wyrzec się swojego człowieka, nazwawszy go renegatem i wrogiem państwa, a teraz wysłał swoich ludzi na powitanie Skender bega, aby złożyli mu gratulacje z racji odniesionego zwycięstwa. Skender beg podziękował i polecił Ali paszy wrócić do konaków w Mostarze, co ten nie omieszkiał uczynić. Wysłannik seraskera powitał go z wielkimi honorami i już następnego dnia wydał przyjęcie na jego cześć.

Skender beg od razu na początku uczył był swoim zwyczajem pijany. Ale pod koniec biesiady nagle wstał i dwa razy klasnął w dłonie. Na ten znak otworzyły się podwoje i wpadli dzicy żołnierze. W mgnieniu oka spętano i Ali paszę, i jego syna. Stary wezyr usiłował pytać Skender bega, cóż to się dzieje, ale ten odwrócił się i bez słowa opuścił komnatę.

Gdy wezyra wyprowadzono, mógł przekonać się, że taki sam los spotkał ludzi z jego świty.

Wszystko było dobrze przygotowane i gładko wykonane. Żołnierze, którzy otoczyli konak Ali paszy, od razu zaczęli grabić i rabować. Też nocy aresztowano rodzinę Ali paszy u źródeł Buny. Nikt nawet palcem nie kiwnął, żeby przyjść z pomocą staremu paszy, osadzono go wraz z synami w miejskiej wieży przy moście, zwyczajnie i bez oporów, jakby tyle lat nie był wezyrem i absolutnym władcą Hercegowiny.

Zdarzyło się to w nocy z niedzieli na poniedziałek. Zatrzymani przebywali zaledwie jeden dzień w więzieniu, tyle tylko, aby wieść o aresztowaniu rozeszła się wśród pospólstwa i zrobiła swoje. Zaraz następnego dnia wyprowadzono wszystkich skoro świt z więzienia. Nie ulegało wątpliwości, że wszystko odbywa się zgodnie z góry ukartowanym planem.

Koniec lutego, pora, kiedy to w powietrzu nad Mostarem wyczuwa

się jakiś niepokój. Bo wiosna tu zaczyna się bardzo wcześnie, daje znać o sobie i nagle a niespodziewanie wybucha niczym ogromna, acz delikatna eksplozja. Tej wiosny zbyt dużo tu niepokoju, bo emanuje go nie tylko ziemia i góry, lecz także pochodzi z niejasnych ruchów i konfliktów między ludźmi i wojskami.

Nawet ten, kto w tym zamęcie i przemianach nie ma nic do stracenia ani do zyskania, wcześnie zrywa się ze snu, zastanawiając się, jakie niepokojące wieści i rzeczywiste ciosy może przynieść nadchodzący dzień. I nic go nie ciągnie na ulicę. A już co znamienitsi lub zamożniejsi ludzie nawet nie spiąją we własnych domach, lecz u wypróbowanych przyjaciół; jednakże i tu ledwo mogą zmrużyć oczy.

Ten wtorek był w Mostarze słoneczny i niesłychanie pogodny, chłodnawy, a przeźroczy jakby z najdelikatniejszego szkła i jakby każde wymówione słowo, każdy w nim gest musiał odpowiedzieć kryształowym, zimnym dźwiękiem w złociście błękitnych przestworzach. Nie jest to zwykły wtorek, który, jak tyle innych, zakwitnie o świcie i zwiędnie o zmroku, o nie. Jest to sądny dzień, w którym blaski i cienie nie rosną i nie opadają, a w którym wszystko zastygnie i pozostanie niezmiennie jak coś, co znajduje się w głębi, póki się nie spełni, co miało się stać.

W taki dzień wczesnym rankiem sprowadzono na taras przed starym kamiennym mostem niby na scenę Ali paszę z synem i ośmiu innych więźniów, jego osobistych przyjaciół lub jawnych przeciwników tanzimatu^[15] i działalności Omer paszy w Bośni i Hercegowinie.

Za nimi postępował oddział w sile trzydziestu nizamów, już to konnych, już to pieszych, w bocznych zaś uliczkach gromadziły się i tłoczyły tabory wojskowe, juczne konie i muły.

[15] Tanzimat (tur.) – reforma, Tanzimati-hajrije – dobroczynne reformy wydane na podstawie Hati-szerifu z 1839 r. w imperium osmańskim, (Przyp. tłum.)

Zarówno żołnierze, jak więźniowie skoncentrowali całą uwagę na Ali paszy. Gruby, chromy i ociężały, a nieprzywykły do chodzenia powłóczył nogami; lewą ręką wspierał się na lasce, a prawą na ramieniu syna Hafiz paszy.

Najstarszy syn wezyra to nie Hafiz, lecz Nazif, który też nosił tytuł paszy; był to przedwcześnie roztyły i rozpieszczony panicz, pijaczyna i leń patentowany, Jakby wypisz wymaluj stryj Hadżun. Dlatego Hafiz, ledwo dorósłszy, zastępował ojca we wszystkich sprawach. Ten przystojny i jak na swój wiek niezwykle dojrzały mężczyzna był pociechą starca. Odnaczał się rozwiniętym poczuciem odpowiedzialności i dumy rodowej, ale nie tej, co wyzywa się w pogardzie dla innych, lecz we własnej powściągliwości; nie tuczy się gwałtem i rozbojem, lecz siły czerpie z własnej pracy, zręczności i zdolności przewidywania. Teraz cierpi, jak tylko tacy ludzie cierpią, ukrywając mękę. W rękach nieprzyjaciela została żona niezwyklej urody, jedyna, jaką ma, która niedawno powiła mu drugiego synka; zostawia ich, jakby największy skarb jej powierzył. Jeszcze bardziej cierpi z powodu ojca, którego zawsze darzył wielką synowską miłością i bezmiarem podziwu. Wstydzi się – to właściwe określenie – tego ojca, który podupadł, stał się ociężały, u którego już od pewnego czasu dostrzega oznaki starzenia się: pamięć go zawodzi, jest porywczy, obrzydliwie lekkomyślny, nieznośnie zarozumiały, gnuśnego ducha i powolny w podejmowaniu decyzji. Obawia się, że te słabości, które dotąd tylko on dostrzegał i jak mógł tuszował, teraz zauważą wszyscy. Żal mu wspaniałego starca i boli go to, a widzi, że nie może pomóc ani jemu, ani sobie. Robi jednak co może i z zaciśniętymi zębami, ostrożnie i delikatnie, podtrzymuje go przy chodzeniu.

Przytuleni, oddaleni od reszty, ojciec i syn stanowili żywy obraz, który poruszał się wolno, acz uroczyście, z bolesną godnością, zajmując sporo miejsca.

Gdy przystanęli na tarasie, żołnierze przyprowadzili przed nich małego brzuchatego osiołka ze śladami juków na wyleniającej skórze, który od czasu do czasu podnosił kosmaty łeb i spragniony powietrza i przestrzeni niespokojnie strzygł uszynia wiosenne niebo.

Podoficer wydał spiesznie rozkazy. Nie zwracając się wprost i bezpośrednio do starego wezyra, ostro nakazał mu dosiąść tego osła, Hafiz paszy zaś prowadzić go. Zaległa kłopotliwa cisza, a wnet doszło do dziwnych wyjaśnień. Hafiz pasza tłumaczył służbistemu sierżantowi, że jest to niemożliwe, fizycznie niemożliwe. Bo Ali pasza, jak sam zresztą widzi, jest jednym z najwyższych ludzi w Hercegowinie – „trzy arszyny mniej dwa palce” – a waży ponad dziewięćdziesiąt ok^[16] wagi czarszyskiej. Hafiz pasza mówi cicho, ale z goryczą, mieniąc się na twarzy, najwyraźniej przykro mu i wstyd rozmawiać z tym małym człowiekiem i przy ludziach o właściwościach ciała starca, który stoi tu i milczy, oparty na jego ramieniu.

Podoficer uparcie nic nie chciał słyszeć i niecierpliwie domagał się natychmiastowego wykonania rozkazu władzy wyższej: wsadzenia starego wezyra na osła i prowadzenia w dalszą drogę.

Nadszedł kapitan, dowódca owej dziwnej karawany, i wysłuchawszy syna, przyjrzał się uważnie ojcu, popatrzył na osła, który stał opodal i mrużył w porannym słońcu oczy. Nie trzeba być zbyt byстрыm, aby pojąć, że starzec może dosiąść osiołka okrakiem, ale ze względu na tuszę i długie nogi nie może jechać ani też zwierzę nie udźwignie takiego ciężaru. Było jasne, że zdarzyło się tu, co zawsze może się zdarzyć, a co w takich czasach i takim wojsku często się zdarzało: ktoś gdzieś daleko w jakiejś kancelarii w myśl jakiegoś przestarzałego przepisu lub zwyczaju, pod wpływem nienawiści i nadgorliwości wydał rozkaz, nie znając ani człowieka, którego to dotyczy ani okoliczności, w jakich on się znajduje.

[16] Oka (z tur.) – turecka miara ciężaru i objętości równa 1,283 kg oraz 4 l.

A teraz wszyscy stali jak skała nie do przebycia przed surowym rozkazem i wobec zupełnej niemożności wykonania.

Kapitan ruszył na poszukiwanie przełożonych; sporo czasu upłynęło, zanim kogoś znalazł i uzyskał zezwolenie wsadzenia więźnia na muła zamiast na osła.

Muł był wyższy i silniejszy od osła, ale ranny, wychudzony i wyleniały wskutek złego odżywiania i ciężkich miesięcy zimowych, kiedy musiał prznosić części armat z Konica na pozycje kawaz baszy, wysunięte przeciwko Skender begowi Siodło na mule też było wytarte.

Znowu zjawił się ów dorodny, smagły sierżant i gwałtownie domagał się wykonania drugiej części rozkazu, a mianowicie żeby wezyr odwrotnie dosiadł muła, którego syn poprowadzi za uzdę. Znów musiał wmieszać się kapitan i wyjaśnił, że ta część rozkazu dotyczy tylko przejścia przez miasta. Ponieważ lada chwila opuszczą Mostar i wyjdą w góry, starzec może jechać jak wszyscy inni, póki nie natrafią na najbliższe osiedle. I tym razem sierżant musiał zrezygnować ze swoich żądań, ale za to złośliwie rozkazał, żeby wraz z końmi i mułami zabrać również osła.

Z trudem podsadzili wezyra i umieścili na mule. Przedtem ktoś rzucił na siodło krótki kocyk, a wszyscy udawali, że tego nie dostrzegają. Wreszcie pochód ruszył i wkrótce zniknął pośród przełęcz szarych skał. Zbliżało się południe, ludzie zaczęli ostrożnie pokazywać się w dotąd zamkniętych furtkach i bramach. Otwierano pierwsze sklepy.

Pustym traktem albo górską drogą jechali i szli, jak kto chciał i mógł, ale ledwie znaleźli się u bram jakiegoś miasta albo większej wsi, sierżant ustanawia! określony porządek. Wezyr musiał odwrotnie dosiadać muła, którego prowadził Hafiz pasza. Dzieciarnia i gapie cisnęli się dokoła niezwyklego pochodu, który Hafiz przyśpieszał, a sierżant zwalniał. Stary wezyr ze swojego siodła wodził gniewnie oczyma po tłumie, jakby szukał świadków tak niesłychanej zbrodni. Bez lęku i skrępowania warczał jak

schwytany w potrzask wilk, przeklinał Omer paszę, wciąż nazywając go niewiernym i wieprzem, i grożąc, że wnet dosięgnie go sprawiedliwość sułtańska, która chwilowo pofolgowala i pozwoliła temu poturczeńcowi rządzić według swego widzimisię i zabijać prawdziwych muzułmanów, będących tego kraju podporą i ostoją.

Jednakże po kilku dniach wezyr gwałtownie się zmienił. Umilkł. Wychudzony i zgarbiony jakoś nikł w oczach. Jego duże szarzielone oczy, którego błysku niegdyś bała się Hercegowina jak długa i szeroka, pobiegały jakby bielmem zasnutę; jeszcze patrzy, ale nie widzi i nie chce nic widzieć. Nie strzyżona broda zarosła, tak że jego profil zatracił dawną ostrość rysów. Przednie zęby, z dawną rozchwiane, zaczęły nagle wypadać, i cała jego niegdyś koścista, zbójcka twarz zapadła się, zastygła bez kropli krwi w bezruchu, jakby znajdowała się na odciętej głowie; a gdy na tej twarzy pojawił się rzadki przebłysk życia, zdradzał łagodną rezygnację i uległość derwisza-żebra. Ubranie niedbale włożone i pomięte zaczęło płowieć na deszczu, słońcu i kurzu. A jednak ten człowiek na mule przybierał z każdym dniem wyraz spokojnej, prawdziwej wielkości, jakiej nigdy dotąd nie osiągnął, nawet w latach swojej największej siły i potęgi.

Przechodnie przeważnie odwracali głowy ze strachu i współczucia, bo nie sposób było patrzeć na tak nagłą ruinę i taką boleść, której nikt pomóc nie może i nie śmie. Jedynie jakiś kramarz w Dolnym Wakufie zebrawszy się na odwagę podszedł do niego na środku rynku i skłoniwszy się grzecznie zapytał, czy czego nie potrzebuje. Żołnierze odepchnęli tego człowieka, smagnęli batem muła i pochód ruszył dalej. Ali pasza, który nawet dobrze nie widział swojego nieznanego zwolennika, odpowiedział mu wolno i znacznie później, gdy już był daleko. Chrapliwym bełkotem z bezzębnych ust w zarośniętej brodzie i wąsach powiedział, że nic mu nie potrzeba, bo Allah dawniej też mu udzielał pomocy, a teraz, odkąd, niesprawiedliwie popadł w niewolę i biedę, pomaga mu i obdarza bardziej

niż kiedykolwiek przedtem wszystkim, co mu potrzebne. Słowa te rzucił gdzieś w dal, ponad wszystko, co go otaczało. W ogóle Ali pasza ostatni odcinek swojej drogi przebył jakby w jakimś zapamiętaniu. Patrząc na zatroskane twarze i zwieszono głowy chłopów i mieszczan dokoła czuł potrzebę pocieszenia ich i dodania im otuchy, jakby to oni byli jeńcami, a on zdrowy, silny i wolny.

Z wyżyny swojej męki, jakby z najwyższego szczytu górskiego, dostrzegł i ujrzał, powiada, pewne prawdy o ludziach i stosunkach międzyludzkich lepiej i wyraźniej niż dawniej za życia. Ale to wszystko zgasła owa askerska kula pod namiotem w Dobrinu, roztrzaskana wraz z jego mózgiem i wzrokiem, i na zawsze przepadło. A to, zda mu się, niesłusznie. Jako że są sprawy, które jedynie wtedy i jedynie w ten sposób, z drewnianego siodła i wyleniałego muła, można przeniknąć, a które powinny być znane, bo wtedy jego żywot i wiele jego postępków objawiłyby się w innym, właściwym świetle, ludzie zaś lepiej umieliby władać i postępować, co byłoby z korzyścią dla nich. Głęboko jest o tym przekonany. Dlatego, li tylko dlatego, chciałby, aby jego prawdziwa historia została wszem wobec podana do wiadomości. Jeżeli można – dobrze, ale on nie prosi i nie nalega. U Allacha i tak wszystko jest zapisane. Ale jeżeli można, to chciałby, osobliwie ze względu na innych.

Słucham go długo i uważnie, tylko niekiedy mam chęć przerwać mu w pół zdania i powiedzieć, co ja o tym sądzę. Tak, mam wielką ochotę to zrobić, ale nic mu nie powiem, jako że nie zwykłem niczyich wyznań przerywać ani niczyich słów poprawiać, a już najmniej męczennika, co głosi prawdę o swojej męce. Zresztą dokąd by mnie to zawiodło, gdybym tak robił. Nie byłoby opowieści. A przecież każda opowieść jest na swój sposób i w danej chwili szczerą i prawdziwą i jako takiej godzi się wysłuchać i zakonotować. Dlatego to w tętnie oddalających się koni i jeźdźców słucham tragicznego, niejasnego przekazu niegdysiejszego

„małego pana na Hercegowinie” i długo jeszcze rozmyślam o ludziach tego pokroju. Nigdy oni z niczym się nie godzą. Nawet po śmierci jakby zostało coś z ich pasji i niezłomnej woli, by w jakiegokolwiek postaci żyć i sprawować rząd dusz żywych.

BARON

Narzucają mi się nie tylko krzykiem, natrętnym chichotem lub paradami i tętentem koni pod moimi oknami, posługują się nie tylko autorytetem swoich nazwisk historycznych, znaczeniem i powagą, jako że nie pochodzą wszyscy z tej samej epoki, ani nie są sobie bliscy, jeżeli chodzi o ich losy lub proveniencję. Ale są tu najprzeróżniejsi ludzie z różnych stron. Wspólne jest im tylko to, że czasami przebywali w moim sarajewskim domu i pozostał po nich jakiś ślad, niewidoczny, ale rzeczywisty; ślad dostatecznie żywy i silny, by mógł zakłócić mi poranek przeznaczony na zgoła inne zajęcia, usiłując wszelkimi sposobami owładnąć moimi myślami i rozbudzić moją wyobraźnię... – Ot, na przykład, ten, co idzie przez sień niedosłyszalnie, wchodzi pewnym siebie krokiem wraz z wonią swojej porannej toalety.

To baron Dom. (Jakby się zmówili, wszyscy są jak jeden mąż *bene nati!*). Niegdyś, wkrótce po okupacji Bośni przez Austriaków był tutaj bite cztery lata asesorem w Rządzie Krajowym. Podlegał mu referat „łowiectwo i zezwolenia łowieckie” albo, jak złośliwie utrzymywali jego koledzy) był „referentem do spraw anegdot myśliwskich”. Rodem ze Styrii należał do starej szlachty. Wyelegantowany i sztywny, chodził zawsze nieco podany do przodu, z laską w jednej ręce, a kapeluszem i rękawiczkami w drugiej. Wysoki i tęgi, zachowywał się z godnością na modłę austriacką, a twarz smagła z cienkimi obwisłymi wąsami i rzadką bródką to jakby nieudana maska. Od tej południowej, prawie cygańskiej twarzy dziwnie odbija para niebieskich, nieobecnych oczu. Oczy te zmieniają się i zdradzają tego człowieka spojrzeniem przeźrocystym jak wody jeziora, to nieśmiało błagalnym, to znów przesadnie ostrym i nie przekonywająco pewnym. Mężczyzna trzydziestosześcioletni powinien

już być na nieco wyższym szczeblu hierarchii urzędniczej, ale – od razu wypada dodać – jest on nieudanym, niewydarzonym dzieckiem z wielce rozgałęzionej rodziny, w której z dawien dawna tradycją była wojskowa, cywilna lub duchowna kariera. Zaczął jako alumn w podchorążówce, ale zanim otrzymał gwiazdki porucznika, został w sposób dyskretny usunięty z wojska. Na karierę duchowną było za późno, a o dyplomacji ani marzyć. Próba pozostania w majątku rodowym i prowadzenia gospodarki też się nie udała. W końcu posłano go do służby administracyjnej „na ziemię okupowane”, byleby gdzieś coś robił i zszedł z oczu, a Bośnia i Hercegowina mogły w owych czasach przyjąć i znieść wszystko. Ale tutaj też nie było widoków, że zdoła utrzymać się i awansować, gdyż nie sposób było powierzyć mu jakiegokolwiek pracy, wymagającej choćby odrobiny logiki, dokładnością a zwłaszcza prawdomówności. Zasadniczą przyczyną i jedynym wyjaśnieniem wszystkich niepowodzeń barona, mówiąc bez ogródek, było jego wrodzone, dziecinne, ale potworne, niepoprawne – błądzenie.

Wielu niemało kłamało na swoich stanowiskach, piastując różne urzędy i załatwiając najrozmaitsze sprawy, ale kłamią w sposób przemyślany i od czasu do czasu, bo błaga służy im jedynie z konieczności i jedynie jako środek, niby broń w konflikcie interesów i ambicji. Tutaj zaś sprawa miała się zgoła odwrotnie. Cały ten podany do przodu i dobroduszny baron jest tylko narzędziem, którym kłamstwo posługuje się bezwzględnie i okrutnie, i to na jego niekorzyść, przynosząc mu ujmę. On błąduje bezinteresownie, naiwnie, bez umiaru i końca, a z uporem maniaka, niepoprawnie jak alkoholik. I to właśnie pozbawia nieszczęsnego barona szacunku w cudzych oczach i odziera z wszelkiej wartości w jego własnych, co mu zamyka wszystkie drogi, uniemożliwia szczęśliwe życie w społeczeństwie i rodzinie, sprawiając, że to bezczelnie i ordynarnie, to znów podle za plecami pokpiwają z niego wszyscy dokoła, nawet ci,

k którzy pod wieloma względami są sto razy gorsi od niego. On zaś jest ślepy i głuchy, ale nie na barwy i kształty ani na głosy i dźwięki, ale ślepy i głuchy na prawdę realnego życia i na wszystkie formy, w jakich się ono przejawia. Z tym tylko, że podczas gdy ludzie wobec ślepców i głuchoniemych są wyrozumiali i darzą ich współczuciem, starając się im pomóc wszędzie i we wszystkim, dla tego nieszczęśnika i jego choroby mają tylko drwinę, pogardę i lekceważenie. I na to nie ma lekarstwa. Bo on nigdy nie dostrzeże granicy, która w codziennym życiu i rozmowie dzieli kłamstwo od prawdy, ani nie będzie miał dość sił, by się pohamować. A gdy mu ludzie albo fakty zwrócą uwagę na tę granicę, wtedy już jest za późno, jako że ma już etykietę blagiera. Tak to w gruncie rzeczy nawet nie mógł dostrzec swego prawdziwego, a zarazem śmiesznego i żalnego położenia w społeczeństwie; mógł jedynie się domyślać, i to tylko chwilami i pośrednio, nie znajdując w sobie dość sił ani możliwości, by je ocenić, pojąć lub zmienić.

Cóż to za wada organiczna tkwiła w psychice tego człowieka, która go zwodziła, że niemal od urodzenia był w niezgodzie z ustaloną i powszechnie przyjętą rzeczywistością? Co sprawiało, że najprostszego faktu nie mógł przekazać po prostu tak, jakim był, ani jak ludzie dokoła to odczuwają, widzą i opowiadają, lecz musiał zmieniać i przykrawać, dodawać i ujmować, koloryzować i przeinaczać? Nie sposób odpowiedzieć na te pytania, gdyż sprawa nie była ani tak jasna, ani tak prosta, jak to sobie wyobrażali i mówili cynicy i kpiarze pracujący w Rządzie Krajowym, ludzie płytki o ptasim mózdzku i twardym sercu, mający wysokie mniemanie o własnej doskonałości i przewadze tylko dlatego, że widzą koło siebie jakiegoś biedaka, któremu natura czegoś poskąpiła lub którego zeszpeciła. Ale nawet bez głębszego wnikania, jedno było jasne: gdy chodzi o kłamstwo i prawdę, między normalnym człowiekiem – takim, którego zwykliśmy nazywać normalnym – i baronem Dornem

istnieje zasadnicza różnica, a różnicę tę można w przybliżeniu tak wyrazić.

Powiedziawszy o jakiejś sprawie wszystko, co można i wypada powiedzieć, normalni ludzie milkną lub zmieniają temat. W baronii zaś dopiero teraz odzywa się żywa potrzeba, żeby jeszcze coś dodać w tej samej materii skojarzyć z innymi podobnymi sprawami, wzbogacić, rozszerzyć, przyozdobić. Krótko mówiąc, chciałby każdej sprawie pomóc, żeby była czymś więcej niż jest podług powszechnego mniemania. W tym tkwi źródło jego przykrej wady: kłamstwa. A koniec? Końca nie ma, bo nikt, a więc też sam baron, nie wie, gdzie się zatrzyma. Każda bowiem chwila w jego życiu, każda okazja i zjawisko wokół niego może być powodem kłamstwa.

Ot, na przykład, przechadza się któregoś wieczoru na Hisetach ową szeroką aleją między szpalerem wysokich topól. Sierpniowa noc. Pogodnie i ciepło, Wystarczy, żeby baron podniósł wzrok na gwiazdziste niebo, by poczuł się w uroczystym i marzycielskim nastroju, i to wszędzie, o każdej porze roku. Nastrój ten wyzwala go z drobnych życiowych pęt i konieczności. Ze wzruszeniem dostrzega, jak jakaś gwiazda przelatuje po niebie. Inna po chwili spada. Jak zawsze oczarowuje go wzruszające piękno tego zjawiska. Od razu nasuwa mu się myśl, że te dwa światelka niebieskie mogły oderwać się jednocześnie, zderzyć się gdzieś pośrodku nieba i rozprysnąć niczym wspaniały fajerwerk.

Od chwili kiedy myśl ta mu się nasunęła, zapomniawszy o zachwycie na widok spadających gwiazd, które rzeczywiście przeleciały po nieboskłonie, mógł myśleć tylko o ich zderzeniu, którego nie było, ale mogło być. I już wyobraża sobie żywo, w najdrobniejszych szczegółach, jak to będzie jutro w Hotelu Europejskim opowiadał kolegom o karambolu gwiazd, który obserwował wczoraj podczas wieczornego spaceru. Wraz z zadowoleniem, jakie mu sprawia opowiadanie o tym zdarzeniu, zjawia się cień, obawa, że znajdzie się ktoś, kto będzie powątpiewał o prawdziwości

jego słów i okaże to mniej lub bardziej dyskretnie. Baron natychmiast spuszcza oczy ku ziemi, załamane i zmęczone od wpatrywania się w rozgwieżdżone niebo. A jednak już nigdy nie uwolni się od swego pomysłu i gdy kiedyś w ciągu roku nadarzy się okazja w jakimś towarzystwie, opowie historię o katastrofie we wszechświecie jak o prawdziwym wydarzeniu z chorobliwym pragnieniem, żeby mu uwierzono, z góry drżąc przed zwątpieniem i szyderstwem.

Tak jest, gdy jest sam, a jeszcze gorzej, gdy przebywa w towarzystwie. Każda rozmowa z ludźmi to dla niego szansa okazania w mniejszym lub większym stopniu swojej nieszczęsnej nieprzepartej potrzeby wyolbrzymiania wszystkiego. Zaczyna spokojnie, w sposób zrównoważony, ze szczerą chęcią, by powiedzieć tylko to, co najważniejsze i naprawdę potrzebne, w każdym razie – tylko prawdę, ale w trakcie rozmowy zaczyna najniespodziewaniej podniecać się niezdrowo. Cokolwiek usłyszy od swojego rozmówcy, podnieca go i zachęca do gadulstwa, a wszystko, co ma do powiedzenia, jest jakieś czcze i blade. Wyobraźnia więc zaczyna pracować, koloryzować, dodawać, a język dzielnie jej sekunduje. Wtedy zaczyna dziać się coś niezwykłego, jego mowa bezwiednie i niepostrzeżenie, bez sensu i potrzeby porzuca szary i twardy grunt prawdy. Słowa zaczynają krzesać się jedne o drugie, oświetlać jakieś widoki, których istnienia dotąd nikt się nie domyślał. On teraz, jak urzeczony, nie tylko przytakuje temu, co mówi współrozmówca, ale we wszystkim posuwa się dalej, rozszerza i zaostrza jego poglądy, a nawet sam wynajduje dowody na ich prawdziwość. Niby upojenie ogarnia go podświadome pragnienie, by się podporządkować, być uprzejmym i zgadzać się za wszelką cenę, i jakaś niezdrowa, mimowolna usługowość, której nikt od niego nie żąda, z której nikt nie ma korzyści, a już najmniej on sam.

Jakże przyjemnie otwierać nowe perspektywy i możliwości,

obiecować więcej i lepiej, być wspaniałomyślnym i wielkodusznym, zgadzać się za wszelką cenę, przystawać na wszystko i nie zastanawiać się, że może nadejść dzień odłaty, termin spełnienia. Im bardziej oddala się od prawdy, tym większą przyjemność sprawia mu rozmowa, odczuwa ją jak słodycz w kącikach ust, słodycz ta rośnie, rośnie – zda się, że ot, teraz osiągnie swój punkt kulminacyjny i całe to swobodne popuszczenie wodzy fantazji zamieni arcydzieło blagi w – prawdę. Niestety chwila ta nigdy nie nadchodzi, gdyż pozostała poza baronem, w punkcie, w którym, biedak, nawet nie dostrzega, że minął się z prawdą. Ale błaga, niemiłosiernie i chorobliwie chciwie jak każda namiętność odwodzi bliżera coraz dalej i sprawia, że ugania się za czymś, co dawno i daleko zostało poza nim.

Gdybyż umiał milczeć! Ale nie potrafi. A ledwo otworzy usta, koloryzuje.

Czego właściwie szuka baron Dom? Człowieka, który by mu uwierzył. Latami całymi namiętnie opowiada i blaguje, kompromituje się w oczach ludzi, marnuje czas i naraża na szwank swój autorytet, a całym swoim pustym życiem i wszystkimi swoimi zbędnymi kłamstwami prosi tylko o jedno: zlitujcie się i uwierzcie mi! Chociaż raz, choć na chwilę, aby moje kłamstwo było tym samym, czym wasza prawda, a potem niech ta przepotężna i nieubłagana, zimna i dla mnie niepojęta prawda panuje wszędzie, wiecznie i całkowicie. Chociaż raz! Żebym ja też zbawił się i uwolnił od tej zmyry! Szuka on jednego jedyne go człowieka, który by na jedną chwilkę uwierzył, ale dogłębnie, bez cienia wątpliwości, bez śladu wahania. Człowiek ten, zda mu się, byłby jego zbawcą. Stałby się cud, na który zapamiętałe a daremnie wyczekiwali alchemicy wszystkich czasów: ciężki, żaloszny ołów jego blagi zamieniłby się w szczere złoto jedynej prawdy, W tej chwili byłby wyleczony. Uwolniłby się od swojej niepojętej, wstrętnej tyrańskiej potrzeby koloryzowania. Odtąd mógłby

śmiało patrzeć w oczy każdemu, nie drzeć, co ludzie myślą o nim i jego bajdach, bo na pewno potrafiłyby mówić prawdę i tylko prawdę. Ale na jego nieszczęście, taki człowiek się nie znalazł, a zatem jeszcze nie wybiła godzina jego wybawienia. Baron nigdy nie zdołał przebiec przez ogień swoich kłamstw, wyjść zwycięsko raz na zawsze zł ogniowej „próby prawdy”. Bo w chwili gdy rozkosz opowiadania osiągnęła punkt szczytowy, zanim dotarł do końca swojego kłamstwa, zazwyczaj zdarzało się, że go powstrzymywało i hamowało w jego zapędach albo podejrzliwe spojrzenie, albo niepohamowany śmiech współ rozmówcy i baron brutalnie smagnięty i zbudzony spadał ze swoich księżycowych wyżyn na samo dno małej, śmiesznej, niepoprawnej błagi. Daremny trud, próba się nie udała. Był skazany dalej i coraz namiętniej zmyślać, na próżno szukając zbawczej chwili, kiedy by ktoś mu uwierzył.

Mijały lata, a z latami wcale nie było lepiej, Wprost przeciwnie. Owa w powszechnym mniemaniu ustalona granica, która w myślach i rozmowach oddziela kłamstwo od prawdy, coraz bardziej bladła i zacierała się w oczach barona. Stale odnosił się z nieprzyjemnym politowaniem do czegoś, co nazywał gołym faktem, i nigdy nie mógł przejść obok niego bez potrzeby przybrania go, ozdobienia i upiększenia. Było to ponad jego siły. Za nic na świecie nie potrafiłyby zostawić go takim, jakim był. Tak więc nawet żartem nie umiał opowiedzieć jakiejś pełnej, szczerzej prawdy. Coraz bardziej wydawała mu się ona ordynarna, nędzna – nieprawdopodobna; i była dlań tak nieznośna, że nie miał siły ani odwagi jej wypowiedzieć. Zdolny był tylko do półprawd, z których każda już w zarodku nosiła zapowiedź całkowitego kłamstwa. A nawet jeżeli zdarzyło się, że przemógł się i powiedział całą prawdę, nikt nie dawał mu wiary, bo jego opinia patentowanego blagiera i mitomana była zbyt powszechna i już ustalona. Ślady swojej reputacji dostrzegał w spojrzeniach wszystkich. A gdy tylko ujrzał pierwsze oznaki powątpiewania i niewiary, uciekał się do

swoich zwyczajów i puszczał w ruch maszynę z dawna wypróbowanych łgarstw na poparcie i obronę niepojętych prawd.

Beznadziejna sprawa.

Od kolegów, sztywnych i na ogół ograniczonych urzędników, baron nie mógł spodziewać się zrozumienia. Ci na najwyższych stanowiskach liczyli się z nim i na wszelkie jego poczynania patrzyli przez palce ze względu na pochodzenie i znaczenie rodu, do którego należał. Ale wszyscy niżsi i średni urzędnicy, równi rangą, odnosili się doń złośliwie, z zawiścią, nieszczercze i arogancko lub traktowali go z góry. Jedni utrzymywali z nim kontakty towarzyskie i rozmawiali, żeby za plecami wyśmiewać się, obmawiać i rozpowiadać o nim i jego naiwnych kłamstewkach wcale nie niewinnych, często zmyślonych anegdoty. Inni stronili od niego, stwarzając wokół siebie pozór i opinię ludzi poważnych i nieprzekupnych urzędników prawdy.

Tylko ktoś, kto w ówczesnym Sarajewie znalazłby się sam, bez przyjaciela i rodziny, ze swoją śmieszoną wadą, tylko ten potrafiłby zrozumieć nie kończące się, męczące spacerowanie barona Dorna po tym mieście, pogodnym i otwartym na południowy zachód, a ponurym i stłoczonym ku północo-wschodowi. W takiej sytuacji baron na skutek własnych skłonności i z racji zajmowanego stanowiska zaprzyjaźnił się z kilkoma bejami sarajewskimi, miłośnikami łowów i napojów wysokowych. Pośród tych bez trosk, wesołych i grzecznych ludzi, którzy nie zwykli każdej opowieści brać pod lupę prawdy, czuł się znacznie lepiej niż pośród swoich ziomeków i kolegów. Ale w tym towarzystwie bośniackim zawierał bliższą znajomość z – rakiją. A rakija z tego silnego człowieka w kwiecie wieku, który dotąd nie uchodził za Bóg wie jakiego abstynenta, ale który znał tylko styryjskie wina i puntygamskie piwo, i to z umiarem, zrobiła z niego w ciągu trzech lat nie tylko alkoholika, ale po prostu chorego, „szmatę z człowieka”, jak mówili jego złośliwi i

zawistni koledzy. Ta rakija bośniacka, lekka i zdradliwa, będąca dla jego towarzystwa myśliwskiego jakby chorobą endemiczną, z którą długo można żyć, u niego miała błyskawiczny i zabójczy przebieg. Trzeba było obserwować, jak pije, by pojąć, że długo nie pociągnie.

Pierwszy kieliszek wychyla duszkiem, stojąc, z przymkniętymi oczami. Usta wykrzywia mu wtedy bolesny grymas. I zaraz cały się wstrząsa, dłonią lewej ręki muska usta i ściera ów grymas, otwiera oczy szeroko i patrzy na was, jak ktoś, kto wynurzył się z jakiejś głębokiej, mętnej topieli. W oczach zjawia mu się wówczas, w zewnętrznym kąciku każdego oka drobna, perlista łezka, która od razu topnieje i cienką srebrną nitczką otacza całe oko. Przez te dwa jasne kółka patrzą na was niemo i długo jego przezroczyste jak szafir oczy, patrzą z żalem, z gniewnym zdumieniem albo bezsilną pogroźką. A po tej pierwszej rakiji, która nim tak wstrząśnie i zmieni, może godzinami przesiadywać i spokojnie, z nieruchomą twarzą popijać i wychylać kieliszek za kieliszkiem.

Wszyscy spostrzegli, jak rakija nagle odmieniała swojego ulubieńca barona. Stracił żywość ruchów i świeżość cery. Mniej mówił, mniej też albo przynajmniej inaczej błagował. W jego opowieściach tkwiła jakaś prowokująca gorycz. Z każdego zdania wycierał jakiś zgryźliwy bunt przeciwko temu światu bezlitosnych faktów, które stale zmuszają go do zmyślenia i chcą tylko jednego: być i pozostać takimi, jakimi są, nagimi, pustymi, nieciekawymi.

Najwyraźniej mizerniał i coraz bardziej przypominał chorego. Odzywały się bóle wątroby, następnie długie czkawki, które męczyły go całymi dniami. A gdy zaczął tracić wzrok, przełożeni skłonili go, by wziąć dłuższe zwolnienie i zmienił środowisko. Zniknął z Sarajewa. Zmarł, pół roku później, w swoim majątku rodowym w Styrii, przyjąwszy zwyczajem ojców sakramenty święte z rąk opata sąsiedniego klasztoru cystersów. Ale nawet po komunii świętej, w agonii, domagał się śliwowicy bośniackiej

i tęsknił do wieczornych pogawędek u źródeł rzeki Bośni w okolicy Sarajewa.

Pośród śladów pozostałych na sarajewskim bruku, które teraz często ożywione pukają do moich drzwi i okien, historia barona Dorna nie należy do znaczniejszych, nie jest sławna i ważna ani osobliwie tragiczna, ale jest żałosna. Beznadziejna. Właściwie dlatego lubi on zaglądać do mnie, gdyż wyczuł we mnie – powiada – człowieka, który nie godzi się z beznadziejnością, cierpliwie i ze zrozumieniem słucha i chyba potrafiłby go zrozumieć, może nawet uwierzyć mu, z którego pomocą w nieprzewidzianej, szczęśliwej chwili mógłby nawet przebrnąć przez przekłete morze blagi i wreszcie wypłynąć na powierzchnię prawdy.

A ja, prawdę powiedziawszy, nie wierzę w to, ale przyjmuję byłego asesora Rządu Krajowego, ilekroć wstąpi, nawet wtedy, kiedy jest mi to nie na rękę, i tracę czasu więcej, niżby należało. Właściwie sam nie potrafiłbym powiedzieć, dlaczego to robię. Może właśnie dlatego, że jego przykład jest tak szczególny i tak beznadziejny.

GEOMETRA I JULKA

Dzisiejszego ranka: geometra P. z S. Tak przedstawił się od progu. Jest to jeden z tych gości, którzy nie wdzierają się i nie wpadają do tego domu przemocą ani natrętnie, lecz po prostu nagle znajdują się w dużym pokoju na parterze może właśnie dlatego, że są tak powściągliwi i spokojni. Jeszcze nie oprzytomniałem zupełnie, a już siedzę przed tym łagodnym intruzem, mężczyzną w średnim wieku, niskiego wzrostu i o dość żalonym wyglądzie. Milczymy. On wbił wzrok w podłogę, ja nie spuszczałem zeń oczu. Jest to osobnik przeciętny i pospolity, ale schludny, sztywny i wysztafirowany, jakby odświętnie ubrany elegant z zapadłej miejsciny.

– Geometra P. z S. – powtarza z naciskiem.

Patrzę i próżno szukam go w pamięci. Pośród znajomych nie znajduję ani tego nazwiska, ani tej twarzy, ani w teraźniejszości, ani w przeszłości. Gość mój nie tylko cierpliwie czeka, ale dyskretnie mi pomaga. Wspomina coś o spotkaniu w pociągu, o podróży z Belgradu do Nowego Sadu. Dawno... wiele lat temu.

Musiałem zdobyć się na pewien wysiłek i potrzebowałem trochę czasu, żeby sobie przypomnieć. Wolno, stopniowo nasuwały mi się obrazy powojenne, ale po „tamtej” wojnie, czyli z dwudziestych lat naszego wieku.

Lato, lipcowa spiekota, taka, jaka bywa tylko na owej naddunajskiej równinie. Późne popołudnie. Dworzec belgradzki, tak samo jak dzisiaj, wciąż rozgrzebany i wciąż w trakcie budowy, teraz jeszcze w skwarze uśpiony.

Wybierałem się do Nowego Sadu. Pociąg do Suboticy już był podstawiony. Wszedłem do wagonu trzeciej klasy, który, wydawało się, był

pusty. Obszerne wagony miały trzydzieści dwa numerowane, wygodnie rozmieszczone miejsca, nie rozdzielone przedziałami, przewiewne i jasne, jakby stworzone na grupowe podróże wycieczkowiczów lub gości weselnych; pasażerowie mogą tu swobodnie się poruszać, przesiadać z ławki na ławkę, gawędzić, obejmować się i śpiewać.

Tuż przy wejściu do wagonu, ukryty za otwartymi drzwiami jakiś człowieczek mocował się z zamkiem niedużej walizki, którą trzymał na kolanach. Wstał, jakby chciał zrobić mi miejsce przy sobie. Przystanąłem, ale tylko na chwilę, postanawiając znaleźć nieco dalej odosobniony kącik, gdzie mógłbym spokojnie czytać, a nie byłbym zmuszony mimo woli słuchać rozmów towarzyszy podróży, albo nawet brać w nich udział. Z chwili tej skorzystał mały mężczyzna, żeby mi się przedstawić, ceremonialnie i spieszenie, jakby tutaj na mnie od dawna czekał i chciał koniecznie zatrzymać.

– Geometra P. z S.

Zamiast też się przedstawić, odparłem, że mi jest bardzo miło, i zaraz ruszyłem dalej, aż w przeciwny kąt wagonu.

Geometra postął jeszcze chwilę, jakby rozczarowany, a potem podniósł walizeczkę i położył na siatce nad głową, usiadł na swoim miejscu w kącie i tak trwał z rękami złożonymi na kolanach, pochylony i niepozorny jak zgubiony drobiazg. Mężczyzna o smutnych, ognistych oczach i małej głowinie, najwidoczniej pełen rozterki, a nieruchomy na pozór.

Siedziałem i czytałem, ale gdy od czasu do czasu podnosiłem głowę, wzrok mój zawsze napotykał nieśmiałe wejrzenie człowieka z głębi wagonu. Miałem wrażenie, że oczy te mnie o coś proszą, błagają, pragną bliższej znajomości i chyba rozmowy ze mną. Ja zaś nie miałem na to najmniejszej ochoty, stale więc spuszczałem oczy i zagłębiałem się w lekturze.

W Zemunie weszło zaledwie kilku podróżnych, ale rozproszyli

się po obszernym wagonie, nieco dalej ode mnie. Podobnie robili inni pasażerowie, którzy później wsiedli na mniejszych stacjach.

Był to zwykły pociąg osobowy, jechał więc dość wolno, A jednak nasz wagon, taki rozklekotany, stary i rozeschnięty, trząsał się i podskakiwał, dudnił i zgrzytał, tak że nie sposób było czytać; ale ja kurczowo trzymałem się tekstu przed sobą, chociaż słowa przed moimi oczyma często urywały się i plątały.

Przybyliśmy wreszcie do Nowego Sadu. Wstałem, włożyłem książkę do teczki i wyszedłem, umyślnie nie patrząc w przeciwny kąt wagonu, gdzie został ów towarzysz podróży, geometra, którego spojrzenie wzbudziło mój niepokój.

A gdy wyszedłem z wagonu i ruszyłem na peron, coś mnie podbechtywało, żeby się obejrzeć i jeszcze raz rzucić okiem na okna wagonu, w którym jechałem. Opanowałem się jednak i nie zrobiłem tego.

A teraz siedzi tutaj przede mną, w moim domu, wypisz wymaluj taki sam, jak owego letniego dnia w pociągu, ale jakoś bliższy, jaśniejszy i pewniejszy w swoim zagubieniu. Tylko słowa jego są ciche i monotonne, jakby opowiadał o kimś innym.

Oto co zrozumiałem. Grób jego już ćwierć wieku znajduje się na cmentarzu w S. Pochowano go pewnego listopadowego popołudnia tegoż roku, kiedy spotkaliśmy się w pociągu. Trzy dni wcześniej znaleziono jego zwłoki w mętnej płyciźnie rzeki.

Pogrzeb odbył się z udziałem prawie wszystkich mieszkańców S., ze śpiewami kapłanów, chociaż w przekonaniu wszystkich nieboszczyk popełnił samobójstwo. (Komisja składająca się z lekarza i sędziego nie wydała jednoznacznego orzeczenia). Ale wszyscy uważali, że człowiek ten już był zgubiony, nim zginął w odmętach i mule bezimiennej rzecznej odnogi, więc nie godzi się za to go karać.

Przyszedł do mnie, powiada, na rozmowę, którą mu jestem winien

jeszcze od owego letniego popołudnia w pociągu sprzed wielu laty.

Zawirowały mi przed oczyma lata, wypełnione najrozmaitszymi obowiązkami, formalnymi i rzeczywistymi, spełnionymi i nie spełnionymi. Poczulem coś na kształt wyrzutów sumienia z powodu zapomnianego spotkania w pociągu. Nagle uświadomiłem sobie, że nie należy zbyt często unikać spotkań i rozmów z ludźmi, którym często jest to bardzo potrzebne, chociaż żeby nie wiem jak bardzo wydawały nam się bezsensowne i nieprzyjemne. Ani to ładnie, ani mądrze. Bo jeżeli z egoizmu i dla własnej wygody nawet unikniemy wysłuchania kogoś, może będziemy musieli zawstydzeni uczynić to później, w mimowolnym wspomnieniu lub we śnie, co jest bardziej przykre i nieprzyjemne.

Z zadumy wyrwał mnie głos mojego gościa.

– Właśnie przyszedłem – ciągnął nieco wyraźniej i żywiej geometra – przyszedłem, żeby pana poprosić. Otóż...

Gdy wymówił to słowo „otóż”, mój pokój gościnny najpierw wypełniła jakaś świetlista mgiełka, coraz bardziej gęstniejąca, w której pograżyłem się, a potem zmieniła się i zaraz wynurzył się z niej staroświecki wagon trzeciej klasy, z dudnieniem i trzaskiem mknący z Belgradu do Nowego Sadu.

W wagonie jesteśmy tylko my dwaj, mój towarzysz podróży geometra i ja. Tym razem siedzę obok niego. Po krótkim wstępie, ociągając się, zaczął swoją dość długą i niezwykłą opowieść. Mówił jakimś spowiedniczym tonem, nie przerywając i nie podnosząc oczu ze złożonych rąk na kolanach.

Początkowo słuchałem go z zażenowaniem i niedowierzaniem, a później pogodziłem się z tym, ulegając tyleż jego sugestii, co swojej ciekawości, której po trosze wstydziłem się w duchu. Na kolanach miałem nie otwartą książkę, którą zabrałem do czytania w pociągu.

Miejscowość, w której geometra mieszka z młodą, niezwykle

urodziwą żoną, jest zdrowa i bardzo ruchliwa. Jest tu też wielu krewnych i wesołe towarzystwo, a zarobki świetne. W tym tylko bieda – jak by to powiedzieć – że jest żonaty i że tej swojej Julki często musi szukać po innych bliższych i dalszych miejscowościach, gdzie ona zwykła wałęsać się, gdy go opuści. (Ot, teraz też wraca z takiej podróży, i to nic nie zwojowawszy).

– Zresztą nie tylko to. Od samego początku, wie pan, Julka lubiła gości, a w naszym mieście ludzie są towarzyscy. Stacjonuje tu też wojsko i są – oficerowie. A pan wie – wojsko czasu pokoju to jak piec w lecie. Zna pan też oficerskie zabawy; mają sporo wolnego czasu, a gdzie zasiądą, z trudem wstają. Niekiedy północ minie. Jest tu pewien kapitan z płową czupryną, Serb z Serbii właściwej. Od pierwszego dnia nie podobał mi się. Ja, wie pan, nie tańczę, ale oni nakręcą gramofon i tańczą do upadłego. Najwięcej Julka i kapitan. Inni też tańczą, ale tych dwoje co chwila myk do drugiego pokoju, a tam panuje półmrok, tylko na nocnym stoliku pali się lampka, osłonięta abażurem z pomarańczowego jedwabiu. Tak, powiadają, najlepiej się tańczy, tak też Julka lubi. Pewnego razu wszedłem z przedpokoju przez inne drzwi do tego pokoju, oni stoją w miejscu, ani drgną, jakby obumarli, a kapitan całuje ją po rękach. Cóż to za taniec? W miejscu i z całowaniem. Podszedłem i powiedziałam do kapitana całkiem serio:

– Proszę pana, bardzo pana proszę!

Do Julki odwróciłem się tyłem. A później po rozejściu się gości usłyszała już swoje. Powiedziałem, co myślę o tym i że mam tylko jeden honor, a jej obowiązkiem jest o tym pamiętać. Poważnie jej zagroziłem:

– Opamiętaj się, Julka!

Tylko tyle. Ona dobrze wie, co słowa te znaczą, gdy ja je wypowiadam. Powinna była wiedzieć. A jednak, zdaje się, nie wie albo nie zależy jej na tym. Licho wie. Siedzimy i rozmawiamy jak mąż i żona, o wszystkim,

o czym należy, i sprzeczamy się trochę, a jest o co, bo w niczym się nie zgadzamy. I zawsze ja mam rację, ale w końcu wychodzi, jakbyśmy o niczym nie rozmawiali.

Tydzień nie upłynie, a ona już z innym oficerem albo cywilem, obojętnie, znów jakieś rozmowy i szepty. „Bratnia dusza” powiada, gdy robię jej wymówki. „A ja czym jestem?”. „Ty jesteś – ty”, odpowiada. I nie wiesz, gdzie patrzy, a coś dopiero, co myśli. I nie sposób w tym się połapać.

Sprawy zawodowe dobrze się układają i długo przebywam poza domem, w terenie, gdzie zajmuję się pomiarem gruntów i zdejmowaniem planów. Po powrocie dostaję anonimy albo wręcz przychodzą krewni i opowiadają o wizytach u Julki. Gdy poważnie zwracam jej uwagę, że tak nie wypada i tak nie można, ona przyznaje mi rację. Zgadza się rzekomo ze wszystkim, a dalej robi swoje. Niczego nie pamięta, nie przypomina sobie. To jakiś fenomen, proszę pana. Z początku myślałem, że udaje, ale potem przekonałem się, że rzeczywiście wszystko ulatuje jej z pamięci.

I to tak powtarza się już trzeci rok. Kładę jej łopatą do głowy, po ludzku, że nie można lepiej i jaśniej, a ona słucha spokojnie i patrzy na mnie bez słowa, patrzy, ale gdy dobrze ocenię i zmierzę jej spojrzenie, a ja to widzę najwyraźniej, nie patrzy mi prosto w oczy, lecz gdzieś poza mną, jakby tam gdzieś za moimi plecami stała jarmarczna buda, na roścież otwarta, jarząca się światłami, pełna klaunów i cyrkowców.

Ujmuję ją mocno za rękę i tym sposobem zmuszam, żeby mi patrzyła w oczy i słuchała tego, co mówię. Ona się ocknie, jakby nawet zawstydzi i trochę skoncentruje. „Przecież słucham”, powiada. Ale co z tego, że tak powie, jeżeli nawet pół minuty nie potrafi ta bestia skoncentrować się i słuchać kogoś, kto nie mówi jej o tym, co ją interesuje. A co ją interesuje, tego nikt nie wie. Nawet ona sama. Wie tylko, co ją nie obchodzi. Nic, co dotyczy mnie, domu, rodziny, poważnych spraw.

Nie upłynęły nawet dwie minuty, jak powiedziała, że mnie rzekomo uważnie słucha, a ja znów chwytam jej spojrzenie ponad moją głową, które zatrzymuje się hen gdzieś daleko, gdzie sam diabeł harcuje na arenie cyrkowej. Poznają to po jej lśniących oczach.

Jak zmusić kogoś, żeby patrzył na ciebie, gdy ten ktoś nie chce, ani też nie chce ci powiedzieć: nie chcę! Przeciwnie, patrzę na ciebie”, wciąż utrzymuje, a najwyraźniej widzi coś innego i ani jej w głowie to, co mówi. A przy tym minę ma męczennicy.

Ta sama historia ze słuchem.

– Opamiętaj się, Julka – powiadam znowu przy jakiejś innej okazji, a ona milczy i ze znużoną miną przymyka oczy. Jakby to miało coś oznaczać i było jakąś odpowiedzią. A jeżeli nawet czasami się odezwie, to tylko bąknie cicho, z roztargnieniem: „tak, tak”, albo „tak jest, nie inaczej!”. Brzmi to jak echo słów obcych ludzi. Początkowo nawet tego nie dostrzegasz, ale powoli uświadamiasz sobie, że ta jej aprobata jest mechaniczna, ponad tym, co ty mówisz, podobnie jak jej spojrzenie, co ucieka ponad twoją głową. Zaczyna to cię coraz bardziej irytować, aż wreszcie może doprowadzić człowieka do, do... wściekłości.

Zastanawiając się nad tym doszedłem do wniosku, że ona większość tego, co mówię – bez względu na temat – puszcza mimo uszu, po prostu nie słyszy. Nie chce słyszeć, nawet się nie wysila. Udaje tylko, że słucha, nawet nie zadaje sobie tyle trudu, by udawać naturalnie i przekonywająco. Przecież nawet najspokojniejszy człowiek wpadłby w szał i wyskoczył ze skóry. Zresztą ja taki nie jestem; u mnie takt i spokój ponad wszystko. Ale...

Mówię więc do niej, jak mąż do żony. Takie jest moje prawo – prawda? – jak jej obowiązek mnie słuchać. A ona wciąż po swojemu: kompletnie zagubiona. Wprawdzie jest tu, ale nieobecna, wyłączyła i wzrok, i słuch, kto wie, gdzie błądzi duchem, kto wie, z kim, a zostawiła zamiast siebie

jakąś katarynkę, która powtarza w kółko „tak, tak”, „nie inaczej”. I tak mechanicznie, bez związku z tym, co mówię; potwierdza i przyznaje mi rację, a nie doczeka nawet do końca, by pojąć całą myśl. Po prostu obraża!

Wie pan, człowiek może być z natury spokojny i dobre wychowanie wynieść z domu, ale bywają takie sytuacje, kiedy nic nie pomaga. Gdy poczujesz, że ktoś, kto żyje z tobą, tak bardzo tobą gardzi, że nawet nie raczy cię dostrzegać koło siebie, nie słucha, co mówisz, i nie odpowiada na twoje pytania, jakbyś miał do czynienia z dzieckiem albo tumanem – krew uderzy ci do głowy i poczujesz potrzebę bronić się i dowieść, że jesteś tu, żywy i cały, i przy zdrowych zmysłach.

Zdarzy się, że właśnie w takiej chwili wyrwie się jej to sakramentalne „tak jest, nie inaczej”. Drgnąwszy, uważniej wpatruję się w twarz tej śpiącej przede mną piękności:

– Jak to? Co jest „nie inaczej”?

Chwila ciszy. Tyle, ile potrzeba, żeby chociaż trochę się opamiętać, potem odrobina zmieszania, mina obrażonej księżniczki i jękanie się:

– Ano tak, tak jest... to, co mówisz...

– Co ja mówię? Co ja powiedziałem, do jasnej cholery?!

Z tym krzykiem zrywam się z krzesła. Ona wtedy niby dotknięta, uderza w płacz. Już!

A teraz to, co następuje, to osobny rozdział, sam dla siebie. Cóż powiedzieć o jej płaczu i łzach, łkaniu i spazmach, opuchniętych wargach i zaczerwienionych oczach? Ach, te straszne łzy bez powodu to istna plaga, która nadchodzi od czasu do czasu nieoczekiwanie, wszystko wywraca na nice i zamęt wprowadza do domu. Nasz kot się najeży i błądzi po pokojach, Julczyn piesek skacze dokoła i ujada bez przerwy, otwierają się drzwi i okna sąsiadów, którzy chcą posłuchać tego naszego koncertu domowego. A co najgorsze, mnie spazmy te wydają się sztuczne, nie mogę uwierzyć w szczerość tych łez, choćbyście mieli mnie zabić. A jasnowłosa

kobieta, jaką jest Julka, zupełnie zmienia się pod wpływem płaczu; twarz jej i piersi poczerwienieją, jakby ją kto obdzierał ze skóry, i wygląda jak prawdziwe nieszczęście.

Gdy już masz nadzieję, że się nieco uspokoiła, że przychodzi do siebie, i chcesz powiedzieć jej coś miłego na pociechę, ona nagle znowu wybuchła płaczem. Łzy tryskają z niej tak, że zda się, iż nigdy nie przestaną płynąć, ale że calutka, taka biała, drobna i pulchniutka, rozplynie się w potokach łez.

Powiadam panu, że ona nie płacze, jak zwykły płakać kobiety, ale jest to istne trzęsienie ziemi, ba, nawet niebios. Jest to – jeżeli pan kiedykolwiek widział – pożar lasu: niczego nie szczędzi i niczym nie sposób powstrzymać żywiołu. Ten jej szloch nie pozwala zbliżyć się, nie dopuszcza do słowa, nie zna miary ani przyczyny. Gdy ona płacze, nie istnieje świat, a wraz z nim ani dom, ani rodzina, ani ja. Wszystko znika, przepada w jej piskach i krzykach. A mnie się wciąż zdaje, że robi to umyślnie i skrycie rozkoszuje się tym krztuszeniem się i łkaniem.

– Opamiętaj się, Julka – usiłuję ją uspokoić, lecz płacz wybuchła z nową siłą, jakbym dolał bańkę benzyny do tłącego się ognia.

Dziwne są te jej ataki płaczu, doprawdy dziwne. Nagle nadchodzą i tak samo nagle ustają. Ciężki żywot z nimi, ale jeszcze cięższy bez nich. Trzeba panu wiedzieć, że moja żona przynajmniej raz na miesiąc czuje się tak śmiertelnie obrażona. A kiedy to nadchodzi? Trudno zgadnąć i przewidzieć. A wtedy, jeżeli nie będzie oberwania chmury łez, zdarza się coś gorszego. Julka zrywa się, lata jak furia, pakuje swoje rzeczy i bez wyjaśnień wyjeżdża gdziekolwiek, do kogokolwiek, do matki, krewnych, na czyjś folwark albo do hotelu w sąsiednim mieście. I tutaj czeka, aż po nią przyjadę. A gdy potem spotykamy się i pogodzimy, nie ma nawet słowa wyjaśnień, przeprosin czy czegoś w tym rodzaju. Ja zaś nie śmiem zbyt często się dopytywać w obawie przed nową eksplozją. No i bądź tu

mądry? I co robić?

Gdy człowiek zastanawia się – a ja nieustannie się zastanawiam – co ją naprawdę interesuje, mógłbym tylko w przybliżeniu dojść do wniosku: zabawy, jakieś głupstwa, same bzdury. Pewnego razu, gdy jakoś przyparłem ją do muru, przyznała się, że najchętniej tańczyłaby nago na trapezie w jakimś rzęsiście oświetlonym cyrku przed tłumami publiczności. Mówiła to wesoło i z zapałem, jakbym to nie ja był w tej chwili, lecz jakby zwierzała się komuś innemu, kto nie jest dla niej ani brat, ani swat.

Po chwili jednak zaprzeczyła temu. Nie, powiada, to nie to, co chciałaby robić. Zresztą ona tego nigdy nie powiedziała.

A więc nie powiedziała. I to mówi mi w oczy. Otóż taka jest to kobieta i ja tak żyję. I cóż? Ot, minęło już dwa lata, a nie mam widoków na zmianę na lepsze. Nie jest to łatwe, proszę pana. Jestem dobrze wychowany, mam miękkie serce, nie mogę patrzeć, gdy zarzynają kurczaka, ale obawiam się, że pewnego dnia zrobię coś złego. Na pewno.

Tu geometra umilkł. Wydawało się, że jest jeszcze drobniejszy i bardziej zgarbiony, bardziej pociemniała mu twarz niż na początku opowieści. Skorzystałem z okazji i, by nie ulec magii jego słów, zacząłem zabierać się do wyjścia. Byliśmy już na przedpolach Nowego Sadu. Pociąg dudniąc i gwizdząc przejeżdżał most na Dunaju. Wagon był pełen dymu, jakiegoś pyłu i wieczornych ciemnoczerwonych blasków, jakbyśmy byli w kuźni.

Wstałem, zanim, wjechaliśmy na dworzec, i zacząłem żegnać się ze zgnębnym geometrą. Ściskając mi końce palców słabym, konwulsyjnym uściskiem spoconej dłoni, powiedział z troską, prawie urzędowo:

– Wie pan, ja bym nigdy tego nie zrobił.

Tak się rozstaliśmy.

Wziąłem torbę podróżną i zmierzałem do wyjścia, ale nie zdążyłem,

bo w tej chwili zniknął nagle wagon trzeciej klasy, i to bez zamglenia i bez żadnego przejścia.

Znowu siedzieliśmy w moim pokoju gościnnym. Wszystko było po dawnemu, tylko geometra już wstał i lekki jak cień, ale silny i zdecydowany, ruszył do drzwi.

Chciałem, aby jeszcze trochę został, by zapytać o pewne szczegóły, poprosić o wyjaśnienia. Teraz miałem ochotę na pogawędkę, ale geometra, jak ktoś, komu się spieszy, unikał dalszej rozmowy, gdyż tę rozmowę, którą mieliśmy w swoim czasie przeprowadzić w pociągu na trasie Belgrad – Nowy Sad, odbyliśmy później i zakończyliśmy. Zniknął tak samo, jak się pojawił, dziwnie i cicho... A teraz ja byłem tym, co pozostał w zadumie, zmieszany i niezadowolony z siebie.

CYRK

Przetykany jeszcze mgłą dzień ma się już ku końcowi, a jakoś nikt nie podszedł pod otwarte okna, nie zawołał mnie, ani też dzwonek nie zadzwonił u furtki. Ucieszyłem się z tego zacisza jak z zasłużonego wypoczynku i niespodziewanego daru. Od razu po śniadaniu ruszyłem po schodach, wiodących do ogrodu położonego na stromiznie powyżej domu, na przechadzkę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Wtem poczułem, że towarzyszy mi jakieś odległe, niejasne wspomnienie: wielkie ciemności i bardzo jaskrawe światło; fanfary, bębny, okrzyki podziwu, tętent koni, zapach wiórów świerkowych, podniecenie, pstrokaci zna, odgłosy cyrku i przykra cisza chłodnej, małomiasteczkowej nocy; nieuzasadniony wielki zachwyty i takie samo przygnębienie.

A wszystko to łączy się z sennym widziadłem, jakie miałem minionej nocy, o którym od razu zapomniałem. Ale w miarę jak dzień narastał w dole nad miastem, i tutaj dokoła mnie rosło, gęstniało, przybierało coraz nowe, wyraźniejsze zarysy również to wywołane wczorajszym snem moje wspomnienie o wydarzeniu z dziecinnych lat.

Od razu na początku tego roku szkolnego, kiedy przeszedłem do trzeciej klasy szkoły podstawowej, rozeszła się w naszym mieście podniecająca nowina.

Na rozległym placu Dużego Rynku zaczęto pewnego dnia ustawiać jakieś belki, żerdzie i skrzynie. Wracając ze szkoły przystawaliśmy i przyglądaliśmy się ludziom, obcym i tutejszym, jak sumiennie, najwyraźniej według jakiegoś planu, krzątają się wokół tych rzeczy, i jak w tej pracy każda rzecz ma swoje miejsce, nowy wygląd, a tym samym wyjaśnienie i uzasadnienie. Krótko mówiąc: budowano cyrk.

Zanim rozbito wielki namiot z szarego płótna, w naszym domu zaczęto

zastanawiać się, czy należy iść na premierę i zabrać również mnie. Nie rozumiałem wszystkiego, co rodzice mówili, ale wydawało mi się wprost niemożliwe, żeby nie skorzystali ze szczęścia, jakie im się nadarza. Ja miałem mniej widoków, że mnie zabiorą ze sobą. Chyba byłoby to zbyt piękne, żeby było prawdziwe i osiągalne. Z góry już czułem smak powstrzymywanych łez i nudy wieczoru, kiedy przyjdzie mi zostać z babcią Smilianą „na gospodarstwie”. Z góry wiedziałem, że tym razem opanuję żal, nie rozpłaczę się ani nie okażę, jak bardzo mi przykro, ale przez to będzie mi jeszcze cięższy kamień leżał na sercu. Jednakże zabrali mnie ze sobą. Łzy gdzieś zniknęły we mnie, zapomniałem o goryczy. Zamieniła się w radość. Zaczęły się czary.

Wszystko się zmieniło. Monotonne życie, którego tak nie cierpiałem, wypełniło się podnieceniem, a podniecenie – to dla mnie prawdziwy kształt życia, jedynie godny tego miana.

Właśnie zjedliśmy kolację, ubraliśmy się odświętnie. Wyszliśmy z domu o pierwszym zmierzchu, kiedy zwykle o tej porze sprawdza się okna i zamyka drzwi, bramy i furtki. Zapadł wieczór, a mnie zdawało się, że to świt. Z daleka było widać, jak Duży Rynek jest oświetlony, a w tym świetle poruszają się lub stoją czarne sylwetki ludzi. Nad wejściem do namiotu łopotało szerokie, oświetlone płótno z czerwonym napisem: „Cyrk Weller”. Z bijącym sercem i zapartym tchem wszedłem przy boku rodziców do rzęsiste oświetlonego cyrku. Kilka rzędów siedzeń z nieheblowanych świerkowych desek regularnym kołem otaczało arenę wysypaną grubą warstwą miękkich żółtych wiórów.

Czary działały już na moje zmysły. Zaczynała się zabawa. Czułem, że twarz mi pała i oczy lśnią, a w kieszeniach zaciskałem kurczowo zimne palce. Jak przez mgłę widziałem pośród widzów znane twarze mieszkańców naszego miasta, a ja zdumiony zastanawiałem się, skąd tu się wzięli, i zaraz traciłem ich z oczu, zapomniałem, jak o ostatnich

resztkach pozostawionego za sobą życia, które coraz bardziej blednie i znika.

Na arenę wpadło dwóch klaunów przy wtórze śmiechu i radosnych okrzykach dzieciarni. Biegali, koziołkowali, przeskakiwali jeden przez drugiego porozumiewali się tylko na migi i wysilali, jak jeden drugiego ma przechytryć i wyprowadzić w pole. Ci dwaj śmieszni mężczyźni w kolorowych ubiorach, o wybielonych twarzach, z których wyzierały błyszczące ludzkie oczy, po ludzku mądre i smutne, przyćmiły wszystko, co dotąd dla mnie oznaczało świat. A to była dopiero zapowiedź prawdziwej wielkiej zabawy.

Zagrzmiały trąby i bębny. Przede mną niby jasna, bajecznie kolorowa, niespokojna wstęga rozwijało się jakieś życie, o którym nie przypuszczałem, że istnieje, a na które nieświadomie w głębi duszy od dawna czekałem. Zjawiało się, zdaje się, właśnie to, czego w częstych godzinach chłopięcego przygnębienia tak bardzo mi brakowało. „To jest właśnie to!” – powtarzałem sobie w myślach i rozkoszowałem się każdą z osobna, szybko przemijającą chwilą i rozgrywającym się przede mną szczegółem.

Po klaunach przyszła kolej na dwóch akrobatów na trapezie. Ich rozpędy i skoki wywoływały podziw, a gdy ich karkołomna odwaga osiągnęła punkt szczytowy, niektóre kobiety pośród publiczności zasłaniały oczy rękami, a pełen grozy stłumiony okrzyk rozlegał się w cyrku:

– Aaaach!

Następnym numerem były ćwiczenia z tresowanymi końmi. Z boku stał dyrektor cyrku w stroju jeździeckim; miał na głowie cylinder, na nogach buty z cholewami. Podkręcone wąsy na nieruchomej twarzy. Wywijając długim biczem spokojnie i wyniosłe niby jakaś wyższa istota dyrygował całą zabawą. Odżywione i wypielęgowane siwki i kare konie kłusowały

dokoła areny, na trzask bicia wspinały się albo upadały na kolana i na taki sam znak opuszczały arenę. Ostatnia scena wywołała zachwyt i burzliwe oklaski widzów. Na karym koniu bez najmniejszej jaśniejszej plamki, który biegł między dwoma niższymi siwkami, jechał silny, barczysty jeździec we wspinałym kostiumie, a za nim wyblanszowana i umalowana kobieta w jasnym trykocie z króciutką pelerynką z błękitnego jedwabiu związana pod brodą. Po kilkakrotnym okrążeniu areny wołyżerka na trzask bicia wspięła się na ramiona jeźdźca, on zaś z wysiłkiem, powoli i ostrożnie zaczął się podnosić. A już w następnej chwili zbałamuciwszy widzów wstał i na pozór lekkim ruchem stanął na zadzie swojego wierzchowca, przytrzymując tylko palcami lewej ręki kobietę, stojącą mu na ramionach. Trzy konie łeb w łeb cwałowały, spod ich kopyt sypnęły się wióry na pierwsze rzędy publiczności; na środkowym koniu stanął silny jeździec z triumfalną miną, a na jego ramionach wyprostowana i wspinała kobieta w cielistym trykocie, jakby była naga, za nią zaś powiewała jej błękitna pelerynka.

Po tej fantastycznej scenie wyszli robotnicy, rozpostarli barwny dywan i zaczęli rozciągać linę nad areną od końca do końca. Ci ludzie w zwykłych ubraniach jakby prawem kaduka zabłądzili tutaj z tamtego świata, który dawno zniknął, a w którym ja też kiedyś żyłem. Na linę wdrapała się po specjalnej drabince młoda baletnica – Węgierka, imieniem Etelka. Dyrektor pomagał jej ceremonialnymi gestami. Była drobna, delikatniejsza i pozornie szczuplejsza od wołyżerki, ale cudownie zbudowana, w trykocie z czarnego jedwabiu, w króciutkiej zielonej sukience, namarszczonej w tali, skąpo zasłaniającej piersi. W prawej ręce trzymała lekką chińską parasolkę. Początkowo stąpała ostrożnie i wolno. Wydawało się, że to niemożliwe, żeby przeszła po tej linie. Kilka razy zachwiała się i przystanęła, jakby lada chwila miała upaść, jakby już spadała, ale z najwyższym wysiłkiem, machając lewą wolną ręką i swoją

parasolką utrzymywała się jednak i dalej posuwała po linie. Mnie w tych momentach serce ze wzruszenia podjeżdżało do gardła, a gdy doszła do końca liny, zawróciła ślizgając się już łatwiej i pewniej. Na twarzy jej stale igrał lekki, beztroski uśmiech.

To już w moim pojęciu nie był cyrk. Ta lina była jakby rozpięta od szczytu górskiego do szczytu, nad jakąś wiosenną doliną, a dziewczyna szła po niej kołysząc się, swobodniejsza od ptaka i lżejsza od motyla, z jednego końca rozległego horyzontu na drugi wraz ze swoim bezcennym uśmiechem. Czysta i jakby eteryczna gwiazda, a nie kobieta.

Myślałem, że cudom i pięknu nie ma końca, że ci ludzie wszystko potrafią i realizują każdy zamysł. Wiedzą, czego chcą, a czego chcą, to mogą. Nie są im potrzebne słowa ani wyjaśnienia. Przemawiają gestem, ruchem. Nie wahają się, nie myślą, nie nudzą się jak my. Nie kłamią, bo nie mają potrzeby, i nie pozwalają nikomu i niczym w duchu i dokoła siebie skłamać albo zdradzić. Poruszają się pewnie i świadomie żyją. Nie wiedzą, co to nieporozumienia i wahania. Przeskakują, kołyszą się albo lecą ponad tym wszystkim. Odwrócili się od tego, co tam na dworze nosi miano życia, ale tylko w imię doskonalszego, piękniejszego życia. Szczęśliwi!

Ku takiemu szczęściu, zdawało mi się, my też dążymy.

Zaś takie życie, jakie dotąd pędziliśmy, zostało prześcignięte, zupełnie i na zawsze wyparte. Wszystkie przeszkody usunięte. Zabawa będzie odtąd sensem i treścią życia, a odwaga i piękno jego jedynymi nakazami. Wszyscy będziemy żyć, tak się poruszać i zdobywać na podobne, a nawet większe wyczyny.

Zastygły w bezruchu i oniemiały pod wpływem tych odkryć, zapomniałem o wszystkim dokoła, nie tylko o widzach, ale także o rodzicach, z którymi przyszedłem. Zdawało mi się, że jestem zupełnie sam, że nie mam nikogo bliskiego, że przyszedłem tutaj jedynie po to,

żeby dowiedzieć się i zobaczyć, jak się żyje w tym wielkim świecie zabawy, blasków i wspaniałości, a potem samemu podążać tą drogą, żeby jadąc na koniu lub w śmiałych skokach zawisłszy w powietrzu zdobywać jakby od niechcienia przestrzenie radośnie i lekko, z uśmiechem na twarzy, szczęśliwy, że ludzie na mnie patrzą i podziwiają.

Ale właśnie wtedy, kiedy już miałem uśmiechem wyjść na spotkanie tej chwili, zdarzyło się coś, czego najmniej się spodziewałem. Gdy tancerka śmiało po raz drugi przeszła po linie i wróciła do punktu wyjściowego, zagrzmiały bębny i zapiszczały triumfalnie trąby. Piękna kobieta podniosła wysoko swoją chińską parasolkę, zręcznie dygnęła publiczności w cztery strony, a potem jak piórko sfrunęła w ramiona swojego dyrektora, który odrzucił bicz i przyjął ją jak opanowany i wyniosły zbawca.

Ta chwila wielkiego triumfu niezwykle się przedłużyła. Nasunęło mi się podejrzenie, a potem ogarnął mnie strach. W pierwszej chwili zaświtała mi myśl, że mogła to być zapowiedź końca zabawy. Muzyka grzmiała, wśród widzów zapanował radosny gwar, niektórzy wstali ze swoich miejsc; na arenę wpadli klauni, obracali się stając na rękach jak żywe koła. Weszli pozostali wykonawcy programu, kłaniali się i posyłali całusy publiczności.

Stopniowo wszyscy dokoła mnie powstali. Ja zostałem na miejscu, zastygły w bezruchu, trzymając się oburącz deski, na której siedziałem. Bolesnie wyrwany z transu, nie mogłem uwierzyć, że słyszałem i widziałem to, co działo się wokół mnie. Wszystko było w ruchu. Pierwsze lampy gasły, konie rżały, klauni przekrzykiwali się, dyrektor trząsał biczem. Miałem wrażenie, że wszyscy się ze mnie śmieją. Koniec, koniec, koniec!

A więc tak! Czyżby te rzeczy się skończyły? To tak, jakby wcale nie istniały! Czy zabawa i piękno może być oszukaństwem? Czy jest to tylko lśniąca, niestała i przemijająca ułuda, która łatwo nas mami i owłada, żeby

równie szybko i nieoczekiwanie porzucić? Po co zaczynali tę zabawę, jeżeli wiedzieli, że nie będzie i nie może trwać? I cóż to warte, jeżeli nie trwa?

Ledwo przywieśli mnie do opamiętania i oderwali z mojego miejsca. U wejścia jeszcze raz się odwróciłem i zobaczyłem, jak robotnicy zwijali barwny dywan cyrkowy, a dwaj klauni biegali dokoła nich i potykali się przy akompaniamencie wesołych okrzyków i pociesznych min. Koniec! Zwijają dywan – wszystko skończone. Koniec!

Na dworze było ciemno i zimno. Ludzie się rozchodzili. Ojciec i mama wzięli mnie między siebie i prowadzili, jedno za jedną rękę, drugie za drugą. Z trudem dotrzymywałem im kroku. Zaciskałem zęby i usiłowałem powstrzymać łzy przykrego rozczarowania.

Z tego wspomnienia, które przypominało mi sen pod słońcem pogodnego ranka i przybierało coraz wyraźniejsze zarysy, wyrwał mnie dzwonek. Na dole przy furtce ktoś silnie i długo dzwonił. Słyszałem, jak mu otwierają i wprowadzają do domu. Zszedłem po tych kilku stopniach nie czekając, aż mnie zawołają. W pokoju gościnnym stał starszy pan, jakiś cudzoziemiec.

Atmosfera tego obszernego pokoju często ulegała zasadniczej zmianie, a niekiedy zdawało mi się, że zmienia się nawet jego wielkość i wnętrze, w zależności od charakteru, wyglądu i zachowania gościa. Teraz całe pomieszczenie było wypełnione jakimś przykrym ołowianym ciężarem.

Naprzeciwko mnie siedział na kanapie zgrzybiały, zniszczony człowiek. Wytarte było nie tylko jego ubranie, ale też twarz i ciało, jeżeli rzec tak można. Miał na sobie garnitur z szarego grubego materiału, poźółkły i wymięty. Swój czarny melonik to kładł na kanapie koło siebie, to znów przenosił na kolana i głaskał jakby w zakłopotaniu. To on był tym, który wymówił to słowo:

– Przepraszam, ale jestem zakłopotany...

Tak, zakłopotany, to widać, nie tylko nie wie, co począć z kapeluszem, ubraniem i butami staromodnego fasonu, ale też z językiem, jakim wyraża swoje myśli.

Był to typowy Austro-Węgier, urodzony w połowie dziewiętnastego wieku w Trieście, zmarły pięćdziesiąt dwa lata temu w tutejszym szpitalu. Matka jego była Włoszką słoweńskiego pochodzenia, ojciec Czechem. Władał językiem niemieckim, czeskim i włoskim, ale żadnego z tych języków nie znał na tyle, by w rozmowie z rodowitym Niemcem, Czechem czy Włochem nie miał kompleksu niższości. Najlepiej znał mowę cyrku, gdyż w cyrku wyrósł i spędził całe życie; niewiele brakowało, a zmarłby też w cyrku. Tutaj posługiwał się osobliwym żargonem, mieszanią wielu języków, dogodną do wyjaśniania i pokrzykiwania na artystów, robotników, a także na konie i inne zwierzęta.

Z wielkim zażenowaniem, dobierając słowa, powiedział, że nazywa się Romualdo Beranek, jest byłym właścicielem cyrku „Weller”, a potem starał się wyjaśnić przyczyny swojej wizyty.

Oto jego słowa.

Wspomnienia niekiedy – zwłaszcza wspomnienia niektórych ludzi – mogą być wielką siłą motoryczną. Póki nie myśli się i nie mówi o ludziach, mogą spoczywać spokojnie w zapomnieniu. Ale gdy raz poruszy ich czyjeś żywe i silne wspomnienie, wówczas trzeba brnąć dalej, aż do końca; trzeba wszystko wyjaśnić wszechstronnie, przedstawić tak, jak było naprawdę, a w razie potrzeby uzupełnić. Oto uzupełnienie.

Owey nocy sprzed pół wieku, gdy cyrk „Weller” na Dużym Rynku godzinę przed swoją premierą w naszym mieście zapalił, wszystkie lampy, dyrektor raz jeszcze sprawdził cały materiał cyrkowy, kostiumy na zespole i uprzęż na koniach, przeliczył dochód ze sprzedaży biletów w kasie, a potem udał się do wozu, który służył mu za mieszkanie. Tutaj leżała jego ciężko chora żona Anna.

Pobrali się ponad dwadzieścia lat temu. On miał „numer” z końmi w cyrku jej ojca. Ona była jego rówieśnicą, pulchną i rumianą jedynaczką starego Wellera, którego cyrk dobrze pracował i był znany w całym kraju. Wielu konkurowało do ręki spadkobierczyni, mądrej i ładnej dziewczyny. Szczęście uśmiechnęło się do niego. Po śmierci starego Wellera zostali jedynymi właścicielami cyrku. Nie mieli dzieci. Przez wiele lat żona prowadziła kasę i księgowość. Jej oszczędność i zaradność sprawiły, że cyrk utrzymał się też w niepomysłnych latach. Przedwcześnie otyła, ociężała, ale jeszcze żwawa, była sprytna i zręczna we wszystkich sprawach. Pół roku temu zachorowała. Teraz leży opuchnięta i nieruchoma w wozie, będąc ciężarem i sobie, i mężowi.

Zawsze była zazdrosna. Tyle tylko, że dawniej była to lekka, niewinna, drobnomieszczańska zazdrość, bez złości i goryczy, bez właściwego powodu i następstw, która nawet przydawała uroku i wносиła ożywienie do ich wędrownego wypełnionego pracą i troskami życia. Ale odkąd zaczęła niedomagać, sprawa stała się przykra i niezdrowa. A co gorsze, teraz zazdrość jej ma uzasadniony powód. Dyrektor zakochał się w tancerce na linie, drobnej i lekkiej, a silnej i zręcznej Węgierce Etelce, jak tylko może zakochać się mężczyzna po pięćdziesiątce, u schyłku życia.

Była to zdumiewająca historia, gdyż wszyscy znali go jako rozsądnego i surowego człowieka, który nigdy nikogo nie wyróżniał spośród swojej dwudziestoosobowej trupy. A stało się to tak, że on sam nie umiałby powiedzieć, kiedy ani jak, nagle, bez umiaru i wyjaśnienia. Uwaga jego naraz się zatrzymała i skoncentrowała na tej wiotkiej dziewczynie, która dotąd była jednym z „numerów” jego programu. Pociągało go wszystko, co ona robiła albo mówiła; każde jej słowo, każdy ruch i spojrzenie nawarstwiały się w nim i w końcu wypełniły go bez reszty wzniosłą i radosną czułością, jakiej nigdy nie zaznał i o jakiej nigdy nie przypuszczał, że istnieje.

Wszyscy w cyrku wiedzą o tym i widzą, i zawsze znajdzie się ktoś, kto jakiś szczegół dyrektorowego szaleństwa doniesie chorej żonie.

Teraz też, gdy on wkłada kostium do konnej jazdy, w którym występuje na arenie, żona mówi cicho, ale ostro, powtarzając swoją codzienną i jak modlitwa monotonną litanię wymówek, pretensji i wspomnień przeplatanych jękami i westchnieniami.

Ona umiera, powiada, i nie ma co martwić się o siebie. Z nią już jest koniec. Taka wola Boża. Koniec! Ale to, co ją dręczy i co jej zatruwa ostatnie chwile, to jego szalony i kompromitujący związek z tą Etelką, która mogłaby być jego córką albo bez mała nawet wnuczką. Zawróciła mu w głowie zagraniczna dziwka, którą – gdy miała trzynaście lat – spotykali z koniuchami w słomie pod żłobem. Jak mu nie wstyd i jak Boga się nie boi? Jak mógł zapomnieć o jej ojcu, starym Wellerze, który zrobił z niego człowieka, jeżeli już nie myśli o niej, która była mu towarzyszem i przyjacielem w złej i dobrej doli. Czy on sobie wyobraża, że Etelka wybrała go z powodu młodości, siły i urody? Czyż jemu, w jego wieku i na jego stanowisku, potrzebne są jeszcze baby? Ale Węgierce potrzebna jego forsa. Czyż nie widzi, co mu szykuje ta baletnica? Czeką tylko, kiedy zamknie oczy szefowa, żeby wyjść za niego, a wtedy łatwo go wysadzi z siodła i zostanie panią cyrku ze swoim wołyżerem Sivorim, z którym już teraz żyje na kocią łapę. Puści go z torbami. Przekona się. A wtedy przypomni sobie jej słowa.

Usiłował, jak umiał, wyperswadować jej to albo przynajmniej ją uspokoić. Robił to łagodnie i niezręcznie.

– Uspokój się, Anulko. Przecież wiesz, że tak nie jest.

– Co tak nie jest? Jeżeli ty jesteś zaślepiiony, przynajmniej ja nie jestem ślepa. I konie, i psy wiedzą, gdzie przesiadujesz po obiedzie. Nie tylko opróżnia ci kieszenie, ale obrała cię z rozumu. Ot, teraz jesteś łamaga, cały pokręcony i wyleniały. Przejrzyj się w lustrze, zobacz, co z ciebie

zrobiła. A co jeszcze ci szykuje? Żal mi ciebie, biedaku, żal!

Chora zalała się łzami, on zaś trzasnął drzwiami i zapinając ostatnie guziki pobiegł do cyrku. Gdy po przedstawieniu wrócił, głodny i zmęczony, chora znowu przywitała go swoimi nie kończącymi się gorzkimi żałami. A teraz trzeba było jeszcze spać przy jej boku, myśląc o jutrzejszym popołudniu, które spędzi z Etelką.

Tej jeszcze jesieni żona zmarła. Pochowano ją na cmentarzu katolickim w Osijeku, gdzie w tym czasie przebywał cyrk. Wkrótce ożenił się z Etelką.

A potem przyszło najgorsze. Kilka tygodni, które przypominały wolność i rozkosz, i blisko dwa lata ohydy, poniżeń i zmagañ z diabłem wcielonym, nie kobietą, która go upokarzała i obrażała, z jakąś dziką rozkoszą przy lada okazji i wszelkimi możliwymi sposobami, w cztery oczy i przy obcych, nie upiększając i niczego nie ukrywając. Sam nie mógł pojąć, co się z nim dzieje. Często i daremnie zastanawiał się, dlaczego jest tak bezwolny i bezradny wobec niej, a skąd w niej bierze się ta siła i zuchwalstwo, i ta niezaspokojona potrzeba dręczenia go i kompromitowania wobec wszystkich i na każdym kroku; i to tym bardziej i okrutniej, im usilniej starał się być dla niej kłiwy i dogadzać jej we wszystkim. Czuł jedynie, że niknie, i wiedział, że już za jego życia cyrkiem oładnął Sivori jego pracownik, woltyżer, kochanek Etelki. W połowie drugiego roku cyrk po dłuższym tournée po Chorwacji i Węgrzech wrócił do Sarajewa – Etelka oświadczyła mu oschle, urzędowym tonem, że ona nie może już tak żyć. Chce, powiada, mieć dziecko; oczywiście nie z nim, bo on – sam zresztą o tym wie – jest bezpłodny i impotent, a gdyby nawet nie był taki, ona nie chce mieć dziecka z nim, lecz z Sivorim. Oto w czym rzecz. Sprawa jest jasna: chce mieć dziecko i będzie je mieć. Nie zamierza niczego ukrywać i przed nikim udawać. I chce, ot, w porę go o tym powiadomić. On może, jeżeli chce, nadal pozostać przy nich; jeżeli mu to

nie dogadza, może sobie pójść. Wolna droga! Mówiąc te słowa patrzyła mu prosto w oczy, bez zdenerwowania, nienawiści, zimno i obojętnie.

Nic nie odpowiedział; nie mógł, tylko wybiegł z wozu i skrył się za stajniami, na gnojowisku, gdzie wyrzuca się śmieci, wióry i najprzeróżniejsze odpadki i pozostałości życia cyrkowego. Długo tu stał nieruchomo, rozprostowując palce u rąk i wpatrując się w swoje dłonie, jakby dotąd nigdy ich nie widział. I tutaj w pewnej chwili, w jednej jedynej chwili uświadomił sobie coś, co dotąd ponad rok wydawało mu się niepojęte i zagadkowe – to jako prawdziwe, to znowu jakby nie było i nie mogło być; wreszcie zrozumiał. Ta, która przed chwilą stała przed nim i mówiła mu to, czego nikt żywy nie mógł wyobrazić sobie, a tym bardziej drugiemu człowiekowi rzucić w twarz, to nie była Etelka, dziewczyna, którą poznał i pragnął posiadać, smukła i gładka jak wonne mydło, lecz uosobienie śmierci i czarna przepaść, do której nie należało nawet się zbliżać i przed którą trzeba się bronić. Był to cios, jaki spotyka człowieka na jego drodze życia, w nieokreślonej chwili i w nieprzewidywanym miejscu, zmienia nagle i zupełnie wszystko w nim i dokoła niego, określa wszystkie jego dalsze myśli i postęпки.

Tego dnia kupił duży nóż myśliwski. Nigdy nie lubił broni ani nie rozumiał potrzeby jej posiadania. Nawet w twardym i prymitywnym życiu cyrkowym, w którym trzeba było borykać się z ludźmi o najrozmaitszych usposobieniach i ze zwierzętami najrozmaitszych maści, unikał przemocy. Ale tym razem nie mógł inaczej. Był przekonany, że jest to jedyna rzecz, którą można by przeciąć ową niewidoczną, cienką i ostrą, a nierozzerwalną nić łączącą go z Etelką, i która na pewno go zadusi, jeżeli jeszcze dzisiaj, choćby zaraz, jej nie przetnie.

Nóż już był pod ręką, ale brak było czego innego: trzeba było decyzję wprowadzić w czyn. Wtedy okazało się, że łatwiej to sobie wyobrazić, niż wykonać. Gdy przed południem wrócił z miasta i zastał Etelkę przy

nakrytym stole, wydało mu się, że bez trudu pokona drogę dzielącą myśl o ciosie od samego ciosu. Ale gdy podszedł bliżej i zamachnął nożem, przed nim nagle zamiast drobnej i delikatnej „ptaszyny z liny”, jak ją w cyrku nazywano, wyrosła wściekła tygrysyca, która umie się bronić i nie wie, co to strach. Nie cofała się, lecz szła prosto na niego, lewą ręką chwyciła za nagi nóż, a prawą biła go po oczach. Rzuciła się jakby w obronie nie tylko swojego życia, ale też swojego jeszcze nie urodzonego dziecka i tego swojego barczystego mężczyzny, który co wieczór występuje na karym koniu z wołyżerką wysoko stojącą na jego ramionach. On wywijał nożem, godząc w odsłonięte miejsce pod jej białym delikatnym gardziółkiem; już dawno, sam nie wie dlaczego, wyobrażał sobie, że gdzieś tutaj znajduje się węzeł owej zabójczej nitki, którą trzeba za wszelką cenę przeciąć. Ale kobieta nie pozwalała mu się zbliżyć, broniła się nie siłą, lecz lekkimi motylimi ruchami i to tak, jakby miała tysiąc rąk. Przy tym krzyczała, nie krzyczała, ale wydzierała się, ryczała niczym syrena okrętowa we mgle.

Z trudem torował sobie nożem drogę przez to niespodziewane rozgałęzienie i powiewanie jej szybkich rąk, wolno przedzierając się do celu. Tak to dyrektor stracił kilka drogocennych sekund, a do pokoju wpadł któryś z klaunów i powalił go z tyłu jednym jedynym uderzeniem.

Wezwano policję. Gdy go podnieśli z podłogi, wciąż jeszcze dzierżył w jednej ręce nóż i rzucił go dopiero na kategoryczne żądanie policjanta. Zabrali go zakutego w kajdany i zbroszonego krwią, a jej bandażowali dłoń lewej ręki.

Zatrzymano go w więzieniu, a potem skierowano na obserwację. Etelka wzięła adwokata. Dyrektor bronił się sam. Bronił się nieustępliwie i zawzięcie, a jednak, albo może właśnie dlatego nieudolnie i bezskutecznie. Dowodził, że nie jest nieobliczalny. („Owszem, byłem nieobliczalny, ale tylko wtedy, gdy tak szalenie zapragnąłem młodej drobnej kobiety z liny; a poza tym ani przedtem, ani potem. Zresztą na tym polega moja

tragedia, moja osobista sprawa. Czyż jest rzeczą słuszną, żebym za to został ukarany i stracił wszystko, a nawet wolność?”) Pragnął tylko jednego: obwieścić wszem wobec o swojej sprawie i pokazać na żywym, nieprawdopodobnym przykładzie, co potrafią zrobić źli ludzie i sprytni adwokaci z człowieka, który pomylił się w pewnej chwili i sam obrał drogę własnej zguby. Ale przesłuchanie było trudne. Nikt nie chciał go wysłuchać ani mógł zrozumieć. Co najgorsze i wprost niepojęte, personel cyrku był przeciwko niemu, a za nową szefową i jej kochankiem; tak też świadczyli przed sądem. Lekarze i sędziowie zarzucali mu, że napadł z nożem w rękę na „słabą kobietę”. Usłysawszy to, zalała go fala gorzkiej ironii. Zaśmiał się rozgłośnie. Uczeni ludzie i specjaliści, a nie wiedzą, że nie chodzi tu o słabą kobietę, lecz o chytrą skrzydlatą żmiję! A gdy chciał im dowieść, że był zmuszony bronić się, i z zażenowaniem, jakby dla siebie wspominał jedwabną więź, która o mało go nie udusiła, oni porozumiewawczo spoglądali po sobie, uspakajali go i ze współczuciem klepali po ramieniu. Nie doczekał końca swojego procesu. Zmarł w Sarajewie i spoczął na cmentarzu w Koszevie.

Tutaj dyrektor umilkł na chwilę, a potem zerwał się. – Przepraszam, że niepokoiłem pana, ale teraz wie pan wszystko. Przynajmniej tyle co ja. Może pan teraz uzupełnić swoje wspomnienia z dzieciennych lat. Bo każdą sprawę należy naświetlić wszechstronnie. Poza tym ja niczego nie żądam i nie będę się już naprzykrzał. Przepraszam.

Pożegnawszy się niezręcznie, ruszył do wyjścia. Niósł przed sobą w obu rękach swój wielki czarny cylinder niby jakiś przedmiot kiedyś tutaj zapomniany, a teraz odchodzi zadowolony ze znalezienia go.

JAKOV – DRUH Z DZIECIŃSTWA

Zjawił się wczesnym rankiem, gdy przypadkowo nikogo nie było. Wszedł spokojnie, przywita! się i usiadł naturalnie, jak ktoś, z kim łączą nas znajomość i zażyłość z dziecinnych lat. Niegdyś byliśmy sąsiadami i jako chłopcy bawiliśmy się na tym samym brzegu rzeki, chociaż nie chodziliśmy do tej samej szkoły, a potem jakoś straciliśmy się z oczu. Przypominam go sobie raczej po niezwyklej łacie na spodenkach albo strupie na kolanie, który nie chciał się zagoić, niż po imieniu i nazwisku czy jakichś zaletach.

Oto jego opowieść.

Jako dziecko słyszał i zapamiętał, że jest wykapanym dziadkiem Markiem. Ów Marko był dekarzem, człowiekiem i mistrzem starej daty. Solidnie pracował i nieźle zarabiał. Co nie przeszkadzało, że gdy trafił się zły rok, kiedy niewiele się budowało, zarobki były małe. Potem nastąpiło kolejno kilka pomyślnych lat, ale nie pozbawionych obaw i lęku przed ostatnim złym rokiem i możliwością, że taki rok znowu się powtórzy.

W ogóle Marko uchodził za dobrego majstra, zwłaszcza za wybitnego fachowca, jeżeli chodzi o nowoczesną budowę dachów. Mnóstwo było w naszym mieście dachów, które on zbudował wraz ze swoimi pomocnikami. Ówczesnym zwyczajem jako majster i gospodarz chodził ulicami ze spuszczoną głową, ale i tak idąc znalazł wszystkie dachy, które były „jego”, i od czasu do czasu podnosił wzrok na któryś z nich, żeby sprawdzić, jak się trzyma i znosi kaprysy pogody. Na wiele dachów patrzył jak na znajome zboża albo sady, które sam zasiał lub posadził. Żył z dachów i przez dachy chorował, bo reumatyzm i wada serca to zawodowe choroby dekarzy. A jego niezwykła śmierć także ma związek z dachem. Nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, gdy pewnego dnia wdrapał się na dopiero

ukończony strych, żeby ostatecznie sprawdzić robotę. Ponieważ długo nie wracał, jego czeladnik najpierw zawołał go, a potem sam wszedł na górę. Tutaj go zastał – wisiał na cienkiej krokwi dopiero ukończonego dachu.

Ojciec przerwał rodzinną tradycję i zmienił zawód, Jakov tym bardziej nie trudnił się ciesielką; tak więc rzemiosło to zatraciło się w ich rodzinie, A jednak coś z niego zostało, jakiś wspólny rys charakteru, który niby dziedziczny przechodził dalej z ojca na syna.

Pracując na dachu, do pasa pod nim, a od pasa nad jego powierzchnią, dziadek Jakova przy tej robocie to oblewał się potem pod wpływem słońca i wysiłku, to dygotał na wietrze i przeciągu, to nucił sobie beztrąsko, to przeklinał godzinę, kiedy się urodził, i klął na czym świat stoi sam nie wiedząc kogo. Tak na przemian. A te różnice temperatur i nastrojów zacierał za pomocą gorzałki. Był to prosty zwyczaj cieśli i dekarzy. Wiadomo. Dlatego też wówczas podług jakiegoś tureckiego porzekadła mawiano: Jakże to? Dekarzem być, a nie pić?

Ale też później, gdy rzemiosło to zostało zarzucone w ich rodzinie i gdy się rodzina rozproszyła, jedno przy nich zostało: nawyk leczenia gorzałką wszelkich, nawet najmniejszych strapień czy zachwiania równowagi. Tak robił ojciec, tak robi też on. Co to oznacza, wiadomo. A raczej nie wiadomo, choć godziłoby się wiedzieć. W gruncie rzeczy oni już przychodzą na świat skażeni gorzałką, którą wypili ich rodzice, a potem mają dalsze zaburzenia pod wpływem alkoholu, którym się kurują i bronią przed dziedzicznymi zaburzeniami. Istne błędne koło.

Zbyt pięknie powiedziane. Właściwie w jego, Jakova, sytuacji – patrząc trzeźwo i mówiąc uczciwie – nie ma nic niezwykłego. Urzędnik bankowy. Przyzwoita pensja i byt zapewniony. Zona i troje dzieci: najstarsza – trzynastoletnia dziewczynka, dwoje młodszych dzieci to chłopcy. Prócz pensji ma uboczne zarobki, gdyż często go angażują jako fachowca do sprawdzania księgowości. Ale z tego już od dawna połowa

idzie na alkohol, druga zaś połowa na rodzinę. Wiedział, że to nie zawsze wystarczy na utrzymanie domu. Słyszał o tym aż nadto często od żony, niekiedy też od przełożonych. Wszyscy mają mu to za złe. Uważają, że jest samolubem i egoistą, elementem społecznym. Z uwag ich nic sobie nie robił i zaraz puszcza! je mimo uszu.

Raczej on miałby większe prawo – tak zwykle myślał Jakov – powiedzieć o nich – i o rodzinie, i o przełożonych – że są pasożytami i żerują na nim. Ale on tego nie mówi. On nic nie mówi. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy razem wzięci nic mu nie mogli zrobić, bo nie należał do tych, co zataczają się na ulicy, co robią długie albo wywołują skandale. Nie jest taki, aby mogli go zwolnić, a tym bardziej aby mogli go uznać nieobliczalnym. Jest im potrzebny, bardziej niż oni jemu. A on mądrze pije, ostrożnie i chytrze – zawsze do granicy niedopuszczalnego i amoralnego. Na tej granicy pijaństwo sprawia największą rozkosz. Gdy wejdiesz na mur graniczny, popijesz sobie wierzgając nogami i obserwujesz, co dzieje się w obydwóch światach, po jednej i drugiej stronie granicy. O pewnej zaś porze powrócisz na tę stronę i jakby nigdy nic idziesz do domu i żyjesz jak wszyscy inni obywatele i urzędnicy, cokolwiek by myśleli i mówili twoi znajomkowie, a także twoi najbliżsi. Jednocześnie odczuwasz swoją przewagę, bo znasz więcej od innych i widzisz lepiej i dalej niż oni.

Następnego zaś dnia znów to samo. Usiądziesz przy kieliszku gorzałki, która wnet zaczyna cię podnosić, póki nie wyniesie cię na ów mur graniczny, z którego oglądasz też tamtą stronę wraz z cudami i dziwami. Gdyby człowiek spisał wszystkie swoje myśli i uczucia w związku z tym, co tutaj czasami ujrzy, i gdyby to opublikował, byłaby to długa i ciekawa historia, może rewelacja i wydarzenie literackie. Ale Jakovowi to nie w głowie, gdyż nie mógł nadziwić się tym, co parają się piórem, drukują, sprzedają i rozpowszechniają swoje przeżycia i intymne uczucia. Zresztą mierzi go wszelka ambicja i współzawodnictwo, gardzi sukcesami i z

odrazą traktuje wszystko, co zwie się opinią publiczną.

Tak samo w pracy, a nawet jeszcze bardziej. W gimnazjum uchodził za najlepszego matematyka. Nauczyciel matmy tak był zachwycony jego „wyjątkowymi zdolnościami”, że w uczniaku Jakovie dopatrywał się już geniusza, który osiągnie to, co jemu nie było dane. W swoim czasie był biednym chłopakiem, ale matematycznym geniuszem. On też! Posłali go na studia za granicę. Tutaj od razu zwrócił na siebie uwagę. Stary, poważny profesor chciał zrobić go swoim asystentem i dawnym zwyczajem dać za żonę swoją córkę, starszą pannę, która już występowała na scenie i wykazywała też inne umiejętności. Ale wtedy młodzieniec, tak bardzo obiecujący, nagle rzucił wszystko i wrócił do kraju, do swojego miasta rodzinnego, gdzie jako nauczyciel całymi latami prowadził jedno pokolenie ,od pierwszej klasy do matury, wciąż zaczynając od początku. Nic nie napisał ani nie opublikował. Życie pędził szare i monotonne. Był alpinistą i lubił łowić pstrągi w górskich potokach, ale to też robił beznamiętnie i bez szczególnej zręczności. Teraz jest już starcem na emeryturze, spotkać go można tylko na porannych samotnych przechadzkach.

Jakież było rozczarowanie pana nauczyciela, gdy młodzieniec po maturze nagle postanowił, że nie będzie dalej studiował, i objął posadę w skromnym banku miejskim.

W tym banku Jakov spędził czternaście lat. Wszyscy, zwłaszcza ostatnimi czasy, uważali, że jest alkoholikiem, i to najgorszej kategorii, co to pije „cichaczem”. Wiedział o tym, wiedział też, że nic mu nie mogą zrobić, bo należy do najlepszych pracowników, po prostu jest niezastąpiony. W banku nie tylko awansował jak inni, ale otrzymywał również nagrody. Nie stało się to, co wielu przewidywało, zwłaszcza jego żona, „gorzałka nie wypila mu mózgu”. Przeciwnie, to mózg jego chłonał wódkę, ale on trzymał się dobrze, i Jakov tak samo jak w latach

młodzieńczych, kiedy miał iść na studia jako „geniusz matematyczny”, szybko i bezbłędnie radził sobie w rachunkach i wszelkich sprawach związanych z rachunkowością. Sam też spostrzegł bezgraniczny podziw i skrytą zazdrość mniej zdolnych od niego, ale nigdy nie mógł pojąć, co w tym jest wyjątkowego i niezwykłego. Wiedział tylko, że dzięki tej swojej umiejętności przynajmniej w pewnej mierze okupił się w oczach ludzi, i był przekonany, że tak będzie w przyszłości. Musiał więc czekać i doczekał się swojego chyba bliskiego końca, bo odkrycia, iż rozkosze, jakie daje alkohol, gdy tak się pije, przewyższają wszystkie przykrości i nieszczęścia, jakie przynosi rodzina, środowisko i przełożeni. Tak przynajmniej długo zdawało się Jakowowi. Ale co innego wprawia człowieka w zakłopotanie i przeraża. Coś innego i gorszego, co z trudem przychodzi wyznaczyć.

Tutaj Jakov westchnął głośno, by zmienić ton rozmowy i pozycję w fotelu.

Nie, on nigdy nie lękał się realizmu życia ani panujących w nim stosunków. Ale śmiertelnie bał się bezimiennych, przemożnych sił, które niewidzialnie krążą w ludziach i dokoła nich i decydują o wszystkim, czyli z tego wniosek, że one rzeczywiście władają ludźmi. A wszystkie te siły pochodzą z tego samego źródła i mogłyby nosić wspólne miano – alkohol. Wódka, którą nasi rodzice wypili, kiedy jeszcze nie byliśmy nawet w projekcie, jak również ta, którą my wypijamy i musimy pić, kieruje tokiem naszych myśli, zabarwia nasze uczucia i w znacznej mierze wyznacza nasz styl życia i nasz stosunek do świata. Wreszcie wódka ta jest wszędzie dokoła nas niby bezmiar oceanu, przed którym nic nas nie uratuje.

Pewnego dnia Jakov przyłapał swoją córeczkę, która sądząc, że nikt nie widzi, chciwie spijała piwo z dna szklanki. Z całego jej zachowania, ruchów, a zwłaszcza po jej oczach poznał ze zgrozą, że wszystko już

jest pogrążone i zatrute, potomstwo i potomkowie potomków. Trucizna jest tym bardziej niebezpieczna, że działa stopniowo, jest przyjemna i pozornie niewinna. Całe pokolenia, te przed nami, jak również te za nami, są niewolnikami alkoholu i z góry skazane, żeby nie wiem co robiły i nie wiem jak się broniły. Dziecko alkoholika, jeżeli skutek szczególnych subiektywnych okoliczności nie będzie alkoholikiem, wyrośnie na człowieka, który nie umie sobie radzić w życiu i wskutek tego bardzo i na próżno cierpi, prędzej lub później marnie ginie.

U schyłku swojego życia po głębszym zastanowieniu Jakov doszedł do tego wniosku. Alkohol to trucizna, która takich jak on w każdym razie sprowadza na drogę samobójstwa. Różne są tylko drogi, jakimi się do tego dochodzi, i rozmaite są formy samobójstw, jak również suma bólu i cierpienia im towarzyszących. Jeżeli alkohol szybko oładnie człowiekiem i całym jego jestestwem, tak że fizycznie podupadnie i duchowo stoczy się do całkowitej apatii i bezwładu, jest to jeszcze pomyślny wypadek, gdyż choroba, choć paskudna i ciężka, przynajmniej nie trwa długo; skutek anestezji alkoholem ofiara nie czuje wielkości swojego upadku i umiera nieświadoma swojego prawdziwego stanu. Znacznie gorsza i bardziej skomplikowana jest sprawa tych, którzy chociaż są nałogowcami, długo jednak zachowują sprawność umysłu i siły fizyczne. Nerwowość ich graniczy z bólem. Myśl nie przestaje pracować i nie tępieje, lecz błędzi po manowcach; im bardziej jest wyostrzona i bardziej przenikliwa, tym dla nich gorzej. Duch ich jest żywy i trzeźwy, wszystko spostrzega, lecz będąc nieuleczalnie chorym, utożsamia się chorobliwie ze wszystkim, co napotka i co zauważy. Cierpią na fantasmagorie i maniakalnie wyobrażają sobie, że mogą wszystko wziąć na siebie. Wskutek tego wysnuwają błędne wnioski i ustosunkowują się nierealnie do ludzi i wydarzeń. Wnętrze tych ludzi przypomina jakąś uszkodzoną centralę telefoniczną, która pracuje, ale w której wszystkie druty są poplątane, tak że słyszą oni jednocześnie

setki rozmów, wezwań i zapytań, a nie słyszą tego, co ich dotyczy i co powinni słyszeć; na próżno usiłują wydostać się z tej matni. Nie zawsze dostrzegają wyraźną granicę między realnym i nierealnym, nie rozróżniają tego, co może być, od tego, co nie bywa. Człowiek zatruty alkoholem cierpi na okresowe szaleństwa. Mózg jego przypomina rozgrodzony folwark, na który każdy może o każdej porze wtargnąć bez przeszkód i zabrać, co mu się żywnie podoba.

Jakov nawet nie przypomina sobie, kiedy to go napadło. Bardzo wcześnie. Jeszcze w latach młodzieńczych, zanim się ożenił, kiedy pił niewiele i nieregularnie. Dowiedziawszy się czegoś z gazet lub rozmów o różnych kradzieżach i malwersacjach, przestępstwach i nadużyciach, zaczął nagle bez żadnych rozsądnych podstaw i przyczyn kojarzyć to ze swoją osobą. Zdarzało to się szczególnie wówczas, gdy o takiej, aferze wyczytał w gazetach, które jako mizantrop czytywał w samotności przy kieliszku rakiji, w kącie nieciekawego bistra albo gdy słyszał o tym od niemiłych ludzi, w których głosie pobrzmiwała nuta przekory i prowokacji. Wtedy krew nagle uderzała mu do głowy, kołnierzyk robił się ciasny i pot występował na czole.

Od tej chwili rozpoczął się jego „związek” z ponurym, ohydnyim czynem, o którym dotąd nie miał pojęcia. Wszystko, co zobaczył, usłyszał lub przeczytał, przyjmował teraz i zastanawiał się nad tym wyłącznie z jednego punktu widzenia: czy jakimś odległym i pośrednim sposobem on sam nie jest wplątany w tę ohydłą, potworną aferę? Dobrze wiedział i często to sobie powtarzał, że nie ma i nie może mieć z tym nic wspólnego. Przez pewien czas nawet udawało mu się zachować tę jasną logiczną świadomość. Ale już nazajutrz albo jeszcze tegoż dnia z powodu jakiejś notatki prasowej, jakiegoś słowa, zasłyszanego przelotnie, albo wskutek jakiegoś niejasnego uczucia, które nagle pojawiło się w nim, wszystko zaczynało się od początku. Zaledwie uznał, że „nie ma i nie może mieć

nic wspólnego”, przyłapywał się, jak gorączkowo szuka alibi, które by w sposób najbardziej przekonujący udowodniło jego niewinność w tej sprawie. I znowu na próżno usiłował przywołać swoją jasną i logiczną świadomość i z jej pomocą wyzbyć się tych szalonych obaw. W takich chwilach, chociaż wiedział, że nie ma i nie może być ani cienia jakiegó jego winy, to jednak całą istotą był dogłębnie poruszony, a myśli miał zmacone. Nie jest winny ani współwinny, tyle wie i rozumie, a jednak przez coś, sam nie wie przez co, mógłby też być. Jakimś głupim skomplikowanym zbiegiem okoliczności mogłoby się zdarzyć, że jego nazwisko ktoś też wymieni w trakcie śledztwa, że będzie przesłuchiwany choćby w charakterze świadka.

Takie myśli i takie obawy długo paraliżowały go w pracy i mąciły wszelką radość. Nawet śniło mu się to po nocach. A gazety otwierał ze strachem i z lękiem odbierał telefony, przeczuwając możliwość sam nie wie jak przykrych, ponurych wieści i zawiadomień.

Taki zamęt trwa zwykle kilka tygodni, z krótszym lub dłuższym zaciszem, bez którego nie sposób tego znieść, odbiera mu sporo radości życia i zdolność do pracy, często doprowadza do rozpacz y i przywodzi myśl o śmierci i zniknięciu jako jedynym wyjściu. A teraz – zaczyna blednąć i znikać. Jeszcze czasami zjawia się o zmierzchu albo w nocy, kiedy człowiek obudzi się i opadną go wszystkie upiory. Aż wreszcie zupełnie zniknie. Zatrze go zbawcze zapomnienie albo zastąpi jakieś nowe błędne wyobrażenie, tyleż żywe i dręczące, co nierealne i przelotne.

Przez cały ten czas żyje jak każdy inny, pełni swoje obowiązki obywatelskie i porusza się pośród ludzi. Nikomu nie zwierza się ze swojej udręki ani ze swoich obaw. Bo tragedia na tym właśnie polega, że alkohol najpierw wyobcowuje swoją ofiarę, wytwarza wokół niej pustkę, oddzielając ją stopniowo i powoli od rodziny, znajomych i przyjaciół, od całego otoczenia, które nie pozwala mu upaść, a wiąże coraz mocniej ze

światem nie istniejących przewin i wymaginowanych odpowiedzialności.

I wreszcie, po każdym takim „napadzie”, który mija, pozostaje jednak w człowieku jakiś czarny osad. Im kryzys był silniejszy i dłuższy, tym czarniejszy bywa osad i obfitszy, tak że każdy następny kryzys dopada ofiarę mniej odporną i silniej w nią godzi.

Jasne, że każdy ucieka jak może od tego wszystkiego i ratuje się jak umie. Nie znając nic lepszego, tę skrytą ranę, zadaną przez alkohol, leczy – alkoholem. Tak robił też Jakov, chociaż lekarstwo to coraz mniej było skuteczne, a męka coraz większa, aż pewnego dnia po kilkunastu latach udręki, przypomniał sobie, że ich dom też ma strych i dach. Było to niejako odkrycie i ratunek na horyzoncie. W pewnej chwili, gdy nikogo nie było w domu, wziął długi sznur od firanek, które żona niedawno oddała do prania, i ruszył! na strych. Tutaj był koniec.

Ale opowieściom o alkoholu nie ma końca. Przynajmniej nie tak szybko się kończą. Po tym wypadku na strychu, który wielu zdumiał, pochowano Jakova na koszevskim cmentarzu, a rodzina dalej wiodła w cieniu tej tragedii ciężkie życie, utrzymując się z mizernej emerytury. Żyła skromnie, ale przyzwoicie. Matka była przedsiębiorczą kobietą, dzieci dobrze się uczyły. Córka studiowała na politechnice, ukończyła gładko i dobrze studia, ale właśnie wtedy, gdy miała objąć posadę, zapadła na nieuleczalną melancholię. Dwa lata spędziła w zakładzie dla psychicznie chorych. Ostatnie miesiące przeleżała jak trup odmawiając przyjmowania pokarmów. Karmiono ją sztucznie. Wreszcie zgasła pewnego dnia niepostrzeżenie. Starszy syn, student, zginął na początku wojny z Niemcami podczas bombardowania Sarajewa. Młodszy ukończył szkoły i od dawna jest nauczycielem wychowania fizycznego. Dwa lata temu się ożenił. Jest to rosły mężczyzna w sile wieku, o pogodnym usposobieniu; nie bierze do ust ani kropli alkoholu. Ale któż zdoła przewidzieć, co może stać się z nim i jego dziećmi.

Taki jest to błąd, powierzchowny obraz niejednej rodziny, powiada w końcu Jakov. Ale nie przybył tu, żeby to opowiedzieć, W żadnym wypadku. Bo po co miałyby opowiadać? Żałosna to historia! W ogóle nie chodzi o jego rodzinę. Ostatecznie, niech się dzieje co chce. Ale takich jak oni są tysiące i tysiące. Jest to kwestia alkoholu, który zaciemnia umysły, podkopuje i niszczy życie całych pokoleń. Czasu pokoju, w warunkach cywilizowanych ludzie skażeni alkoholem przodków zatrują sami siebie i swoje potomstwo jawnie, spokojnie i swobodnie, jakby robili najnaturalniejszą i najlepszą rzecz na świecie. Czyż nie jest to problem, którym żywi powinni się poważnie zająć? No i te nieskończone powikłania, istny labirynt dziedzictwa, który wymyka się wszelkim nawet najdokładniejszym obliczeniom! Problem jest prosty i przerażający w swojej prostocie. Nawet zdrowemu i trzeźwemu człowiekowi nie jest łatwo iść przez ciężkie i skomplikowane życie i pozostać człowiekiem. Wszystkie siły naszego ciała i wszystkie przebłyski naszego rozumu ledwo wystarczą, aby utrzymać się na powierzchni i iść naprzód, a my jeszcze upijamy się i zatrujemy siebie i innych. Czy tak być powinno? Gdyby wszyscy, którzy chcą żyć, zebrali się, usiedli i zastanowili i przesunąwszy ręką po oczach, zapytali, czy rzeczywiście jest to możliwe, że ci, co tak wytrwale zwalczają choroby, cierpienia i śmierć, jednocześnie sami pielęgnują to nieszczęście i przenoszą na swoje potomstwo – wtedy chyba wszyscy by zrozumieli, że trzeba tu coś zmienić, że trzeba się bronić. On wie, że zwalcza się to zło. Istnieje nauka, istnieje walka społeczna z alkoholem i jego skutkami, jak z narkotykami i narkomanią. Ale czymże jest to wszystko? Żałośnie mało, W walce z wszelkimi, nawet najniewinniejszymi epidemiami robi się więcej. Tyle klęsk opanowano i na zawsze uwolniono od nich człowieka, a wobec tego absurdu stoimy bezsilni, chociaż wszystko zależy od nas samych. Rozmyślając o tym, często zastanawiał się, dlaczego tak jest. Ot, na przykład literatura! Tyle

się pisze wszędzie o wszystkim i najprzeróżniejszym sposobem, czy nie można by i o tym pisać? Ale mocno, ostro. Przedstawić sprawy takimi, jakimi są, ostrzec ludzi, wstrząsnąć sumieniem, bić na alarm, poruszyć prawodawców, lekarzy, całe społeczeństwo.

Tutaj Jakov urwał na chwilę, a potem obie ręce złożył na stole, jakby chciał silniej zadokumentować swoją obecność, i wpatrzył mi się prosto w oczy.

Dlatego przeszedłem dzisiaj do ciebie. Zęby przynajmniej sobie pogadać.

Pogadaliśmy. Rozmowa była długa i taka, jaka mogła być. Mniej więcej tak, jak gdybyśmy dźwignęli blok kamienny o odrobinę do góry i z powrotem opuścili w dawne jego łożysko. Mnóstwo słów i spiesznych albo urywanych zdań, a w sumie: nic.

W pewnej chwili Jakov wstał i pożegnał się, jak zwykliśmy żegnać się z druhami z dzieciństwa, których spotkaliśmy po wielu latach – jakoś wolno i z roztargnieniem. Żegnał się jak ktoś, kto dużo wie, ale nie chce zanudzać i w gruncie rzeczy nie wierzy, że coś osiągnie swoją wizytą.

Odprowadziłem go na podwórko. Odszedł bez słowa nawet się nie obejrawszy. Zniknął za wielką bramą, ale jakoś dziwnie, że nawet nie spostrzegłem, jak brama się otworzyła ani kiedy zamknęła się za nim.

OPOWIEŚĆ

Jeszcze niedawno siedział tu jeden ze spokojnych i miłych gości, Ibrahim efendi Szkaro. W ogóle należy on do wyjątków pośród odwiedzających. Rzadko tu zagląda, a gdy wstąpi, nie ma zwyczaju zbyt długo przedłużać swojej wizyty. Od pierwszej chwili siedzi i gawędzi tak, jakby lada moment miał wstać, uprzejmie pożegnać się i – odejść. A gdy się zdarzy, że zasiedzi się i rozgada, wtedy jest to istne święto. Nigdy nie mówi o sobie, nie broni się i nie usprawiedliwia, nie wynosi się i nie narzuca. Podczas gdy inni wprost napierają się, żeby znaleźć się w mojej opowieści, i czasami domagają się tego bezpodstawnie i natrętnie, on wprost przeciwnie – wolałby, żebym go nigdzie nie wspominał, a jeżeli już przytoczę jakąś jego anegdotę, abym nie wymieniał autora.

Odprowadziłem Ibrahim efendiego, ale on wrócił i znów zajął swoje poprzednie miejsce. Mam wrażenie, że wcale nie opuszczał mojego pokoju, jakby coś niewidocznego, ale żywego i realnego zostało tu po nim i dalej snuje opowieść, i to nie ujętą w słowa, lecz samą istotą jego gawędy. Wsłuchuję się w ciszę swojego pokoju, w jego opowieść, i od czasu do czasu skinieniem głowy przytakuję. Gdyby ktoś z boku mnie obserwował, gotów pomyśleć, że nie jestem przy zdrowych zmysłach. A ja wsłuchuję się w samo, zresztą niedosłyszalne, sedno wszystkich Ibrahim efendiego historii.

Ojciec jego, Hamid aga Szkaro, był w swoim czasie jednym ze znamienitszych obywateli tego miasta. Z jego słowem – słowem sprawiedliwego i nieustraszonego męża – liczyły się władze i mieszczanie, a często miało rozstrzygającą moc. Późno się ożenił ze słynną piękną z domu Sulejman paszicia, a przeżył z nią w małżeństwie zaledwie pół roku.

Było to ponad sto lat temu, w czasach, gdy zjechał do Bośni Dżelaludin pasza, wezwał do siebie do Trawnika prominentów z całego kraju i podstępnie pomordował wszystkich jak stado bezradnych baranów.

Hamid aga\$ którego też wezwano do Trawnika, ale który ani myślał się stawić i odwodził innych od tej wyprawy, jawnie wygłaszał swoje zdanie i potępiał zbrodnie wezyra. Prerażeni, ale żądni sprawiedliwości i odwetu, ludzie dawali mu ucha i słuchali tego, o czym wszyscy myśleli, a nikt nie śmiał głośno wypowiedzieć. Trwało to zaledwie kilka dni. Pewnego piątku, zanim zmierzch zapadł, gdy ludzie wracali z pracy, spotkało go czterech Bośniaków na Atmejdanie opodal jego domu. Chcąc go przepuścić rozdzielili się, po dwóch z każdej strony. Niespodziewanie ten najbliższy niego, z lewej strony, ugodził go w pierś i przebił na miejscu. Zabójcy rozbiegli się na wszystkie strony z krzykiem dla zmylenia ostatnich przechodniów. Co odważniejsi ludzie zaczęli jednak podchodzić do zamordowanego i wzywać zaptijų^[17].

Wówczas stało się coś niesłychanego. Na dziedzińcu Hamid agi Szkary trzasnęła brama, wybiegła młoda, piękna żona agi, bez feredży^[18] i jaszma^[19], w pończochach, jak stała na ganku wyglądając męża. Tak odsłonięta przebiegła pół placu, silnym ruchem rąk utorowała sobie drogę wśród gawiedzi i z rozdzierającym krzykiem padła na ciało zabitego, któremu z piersi sączyła się ostatnim, słabym strumieniem krew.

Zgorszeni ludzie odwracali głowy od nie zakwefionej niewiasty. Wnet z podwórza wyskoczyło dwóch służących Hamid agi. Jeden zasłonił przyniesioną białą, szeroką boszcza^[20] twarz i kibić swojej pani,

[17] Zaptija (tur.) – policjant w Turcji. (Przyp. tłum.)

[18] Feredża (tur.) – rodzaj zwierzchniej szaty kobiet tureckich. (Przyp. tłum.)

[19] Jaszmak (tur.) – chustka na dolną część twarzy kobiet muzułmańskich. (Przyp. tłum.)

[20] Boszcza (tur.) – wielka chusta. (Przyp. tłum.)

oderwawszy ją od zmarłego. Na boszczy od razu wykwitły ślady jej zakrwawionych rąk. Wprowadzili ją na podwórze, a następnie z pomocą przechodniów wnieśli nieboszczyka.

Tak to – o tym nikt nie wątpił – po Hamid agę Szkarę śmierć przyszła z Trawnika.

Był to wymowny znak czasów. Namiestnicy sułtańscy w Bośni zamienili się w pospolitych oprawców, którzy przybywali tu nie po to, aby przestrzegać praw i bronić obywateli, lecz żeby zabijać znamienitych ludzi, bądź w samej trawnickiej siedzibie wezyra, bądź pośrednio rękami najemników we wszystkich zakątkach kraju. Szeptano sobie o tym po całej Bośni, a przy tym, niby dziw nad dziwy i straszny przykład, wspominano wielką miłość młodej kobiety, która niebaczną na wszelkie nakazy i względy wybiegła z odsłoniętą twarzą na ulicę. Jedni potępiali ją za to, inni bronili i usprawiedliwiali. Nic z tego nie docierało do Hamid aginicy, pogrążonej w niemej rozpaczycy za utraconym mężem. Trzy miesiące po tym strasliwym wydarzeniu powiła synka.

Rok tylko chowała maleństwo i karmiła własnym mlekiem, zatrutym jadem nienawiści i nieutulonym żalem, coraz bardziej nikła i więdła, aż zesza ze świata nie znalazłszy słów na to, co było przyczyną jej zgonu. Ciotki zaopiekowały się pogrobowcem.

Z dziecka wyrósł młodzieniec, z młodzieńca mężczyzna. Można jeszcze spotkać jakiegoś starca, który pamięta tego gawędziarza takim, jakim był, gdy chodził po ulicach Sarajewa.

Dziwny człowiek. Z zacnego, bogatego domu i szkoły ukończył, ale jakąś robotą, tym, co zwie się „poważnym zajęciem”, nigdy się nie parał i nie splamił rąk. Krewnym pozostawił zarządzanie częścią folwarku. Wygląd jego zdumiałby was niepomierne. To, co słyszeliśmy o nim jako o dowcipnym gawędziarzu, najzupełniej jest sprzeczne z jego powierzchownością. Niski, przedwcześnie posiwiały, o twarzy fauna,

oszczędnych ruchach, tak powolnych i ociężałych, jakby cały był oplatany niewidzialnymi lepкими nićmi, z których wciąż daremnie próbuje się wywikłać. Powolny w każdym calu, nawet patrzy jakoś wolno. Wciąż mruży oczy i ciągle coś poprawia to przy jednym oku, to przy drugim, to przy ustach. Każdy ruch przedłuża w nieskończoność. Podobnie słowa. Cedzi i przeciąga, jakby dobierał takich słów, które nic nie mówią i ani trochę nie zobowiązują. Ale jeżeli po kawie przyjdzie poczęstunek – kieliszek wódki, może zdarzyć się, że rozwiąże mu się język. Wówczas przy drugim kieliszku otrząśnie się, jakby zrzucił z siebie niewidoczne pęta, przestaje mrużyć oczy i nerwowo „poprawiać” twarz, nie weźmie już do ust ani jednej kropli alkoholu, niewiele też pali. Profil mu się zaostrzy, słowa wiążą się w całość, mówi płynnie; człowiek ten ożywi się jakby uskrzydłony; i wtedy nikt mu nie dorówna ani prześcignie w dowcipie czy w pomysłowości. Co w tych gawędach jest wyjątkowe i niezwykle, to jego zdolność zaskoczenia słuchaczy czymś – znanym. Niestety, jego historyjki, jak wiele ustnych przekazów, są niepowtarzalne. Przy każdej próbie odtworzenia ich pozostaje tylko szkielet, tak że aż dziw bierze, jak to i kiedy w trakcie powtarzania zniknął urok i blask opowieści Ibrahim efendiego. Sam Ibrahim efendi nie lubi do nich wracać. Przeważnie zapomina swoje anegdoty, które spalają się niby papieros, a nie mają nazwy ani początku, ani raz na zawsze ustalonego kształtu.

Tak więc niekiedy siedząc w gronie przyjaciół, którzy po długim i próżnym wyczekiwaniu już stracili nadzieję, że coś usłyszą, on nagle odzywa się, rzecz można jakoby kontynuuje cierpliwym, poufnym tonem dawno rozpoczętą, niczym przeznaczoną wyłącznie dla was, opowieść.

Zaraz na początku słuchacze dygoczą z powstrzymanego śmiechu, ale opanowują się, żeby ani słowa nie uronić. Mimo to rzadko uda się Ibrahim efendiemu doprowadzić do końca historię, gdyż jak tylko słuchacze domyśla się finału, który zawsze jest nieprzepraczone śmieszny,

zwolniwszy wszystkie hamulce parszają śmiechem, tak że już nie sposób cokolwiek usłyszeć. Później, gdy śmiech przycichnie, okazuje się, że opowieść już dawno jest skończona, a Ibrahim efendi siedzi spokojnie z kamienną twarzą.

Potrafi następnie godzinami siedzieć słuchając innych ze skromnym uśmiechem, ale też może nagle rozpocząć inną opowieść, także bez właściwego początku, lecz której zakończenie ginie w salwach ogólnego śmiechu.

Gdy tak przyjdzie wam słuchać gawęd, zda wam się, że to bujne i bogate życie opowiada samo o sobie, Ibrahim efendi zaś tylko od czasu do czasu wtrąca w decydujących momentach kilka słów, jakby sam też był słuchaczem: „No proszę!”, „Posłuchaj tego!”, „Patrzcie!” W tych jego opowiastkach roi się od dziwów i najprzeróżniejszych tragedii, ale jeszcze więcej jest dowcipów; są tam zbrodnie i przestępcy, zabijaki, głupcy i szalbierze, są też pocziwcy, ofiary ludzkiej głupoty i ludzkiej potrzeby oszukiwania innych i siebie, ale wszystko to zaprawione szczególnie, umiejętnością, choć potrafi poruszyć człowieka, nikogo nie dotknie ani nie onieśmieli. A z pewnością rozśmieszy do łez. Wszystko, co w życiu się zjawia i trafia, ludzie, zdarzenia, zwierzęta i martwe rzeczy, wszystko ma swoją wartość i swoją wysoką rangę. I wszystko kończy się śmiechem, który nie boli i nie razi nikogo. Czasami ludzie, którzy z natury ponuro i złośliwie patrzą na świat, zarzucają Ibrahim efendiemu, że w jego niezwykłych opowieściach wszystko jest jakoś złagodzone, upiększone i jakby wznioślejsze, na co on ma spokojną odpowiedź: „Chyba tak nie jest. Ja niczego nie upiększam. To pewnie wy krzywo widzicie?” Ale to rzadko bywa. Zazwyczaj nie martwi się o los swoich anegdot ani o to, jak kto je odbiera i sobie tłumaczy. Nie staje w ich obronie ani nie próbuje wyjaśnić. Uśmiecha się w milczeniu albo opowiada już następną historyjkę. Tylko od czasu do czasu sam się dziwi: „Patrzcie!”. Ludzie lubią jego dykteryjki

i przyjmują je takie, jakie są; wielu słuchając ich od najmłodszych lat przywykło do nich, tak że im się zdaje, iż dopiero w tych gawędach szmat życia nabiera właściwego kształtu i pełnego sensu; to, co w nich się nie zmieści, można zapomnieć lub zmienić, podczas gdy opowieści Ibrahim efendiego długo żyją i podawane z ust do ust krążą po całej Bośni.

Bywało, że jacyś znamienici ludzie, urzędnicy państwowi i „ludzie interesu” nie przyjmowali życzliwym okiem, ani Ibrahim efendiego, ani jego anegdot, w których znajdowali powody do gniewu i potępienia, chociaż nie umieliby właściwie powiedzieć, dlaczego. Często sami z nich się śmieją, ale chyba czują urazę, że tylu innych się śmieje, pewnie myślą, że śmiech sam przez się może działać niszczycielsko i pomniejszać w obywatelach poczucie ładu i dyscypliny. Nie mówią tego wyraźnie ani otwarcie, ale często lekceważą Ibrahim efendiego jako dziwaka i kawalarza, który wszystko w anegdotę i żart obraca; pokpiwają i z niego, i z jego dykteryjek, i z tych, których to bawi.

Nic nie było w stanie zachwiać Ibrahim efendiego, powstrzymać w opowiadaniu dowcipów ani skłonić do opowiadania ich inaczej. Tak zeszło mu życie na żartach, jakby cały był jednym wielkim dowcipem. Tak też zmarł ukończywszy sześćdziesiąt lat, cicho, niedosłyszalnie jak przepiórka w życie. Nie miał za grosz ojcowskiego sprytu i przebojwości. Nie ożenił się i nie zostawił po sobie potomstwa. Nie żył. Zamiast tak zwanego realnego życia, którego cios wyczuł jeszcze w łonie matki, stworzył sobie inną, utkaną z opowieści rzeczywistość. W tych opowieściach o tym, co mogło być, a czego nigdy nie było, a co częściej bywa prawdziwsze i piękniejsze od wszelkich zdarzeń, niejako uciekał od prawdy dnia codziennego. Uniknął życia i oszukał tym sposobem los. Teraz już ponad pięćdziesiąt lat spoczywa w grobie na Alifakovacu. Ale żyje jeszcze czasami gdzieniegdzie jako opowieść.

NIEWOLNICA

Jest to spotkanie, jakiego nikt nigdy nie życzyłby sobie, ale którego nie sposób uniknąć. Tego też nie opowiedziała mi sama niewolnica, lecz ciężkie, monotonne falowanie popołudniowego morza, które w ciemnościach zapamiętałe uderza o fundamenty starodawnej, ponurej twierdzy novljańskiej. Pewnej nocy fale te podpłynęły ku mnie, do mojej sarajewskiej samotni, wyrwały mnie z pierwszego snu i zmusiły do wysłuchania opowieści morza.

Po długotrwałej wyprawie na Hercegowinę, o której wiele się mówiło, czekano na wziętych w jasyr hercegowińskich niewolników. A gdy w końcu przybyli, rozczarowanie było ogromne, nawet dzieciarni, która swoim zwyczajem wybiegła i zgromadziła się przy drodze. Niewolnicy byli nieliczni i wyglądali żałośnie. Większość od razu załadowano na arbanaski^[21] statek, zakotwiczony w przystani. Mniejszość, którą pozostawiono w mieście, dopiero dwa dni później pojawiła się na targu.

Tyle trzeba było czasu, żeby niewolnicy wypoczęli, umyli się i trochę uporządkowali.

Placyk wybrukowany drobnymi kamykami znajdował się w cieniu, pod stromą skałą z twierdzą na jej szczycie. Tutaj dla niewolników przeznaczonych na sprzedaż umieszczono klatki ze sztachetami z kijów lub żerdzi. W klatkach tych wystawieni na widok publiczny niewolnicy siedzieli albo leżeli, a wyprowadzano ich tylko na żądanie poważnych nabywców, którzy chcieli z bliska obejrzeć i oszacować towar.

W większej klatce stłoczono pięciu mężczyzn, wieśniaków, samych starszych ludzi, w innej zaś, mniejszej, siedziała urodziwa, silna, dobrze zbudowana dziewczyna, która od razu przy wejściu do Novigradu zwróciła

[21] Arbanaski – albański. (Przyp. tłum).

na siebie uwagę. Zachowywała się jak dziki zwierz, stałe oparta o sztachety, jakby chciała prześlizgnąć się między nimi.

Przy klatce siedział na niskim trójnogu jeden z dwóch stróżów, podczas gdy drugi przechadzał się nad morzem. Obydwaj mieli pistolety za pasami i krótkie kańczugi przytroczone do pasów.

Kilkanaście kroków dalej, ukryte za parterowym domkiem znajdowało się wzniesienie z niedużym ogrodem. Tutaj siedział handlarz żywym towarem i rozmawiał z kupcami. Był to cudzoziemiec, znany na tutejszym wybrzeżu, mężczyzna szczupły, ale krzepki, o przenikliwym spojrzeniu i pewnym siebie zachowaniu, imieniem Uzun Ali. Stróże przyprowadzali tu z dołu poszczególnych niewolników i niewolnice na oględziny i odprowadzali na dół do klatek. Nabywca zaś i właściciel kontynuowali rozmowę i targi o cenę i wartość towaru.

Jako pierwszą tego ranka wyprowadzono dorodną dziewczynę z mniejszej klatki; miała na imię Jagoda i pochodziła ze wsi Pribilovicie. Nabywca siedział w cieniu obok Uzun Alego. Przed nimi unosił się dym z długich cybuchów. Niewolnica stała sztywna, nieprzytomnie wodziła zdumionymi oczyma, unikając spojrzeń. Stróże zmusili ją do rozłożenia rąk, postąpienia kilku kroków, pokazania zębów i dziąseł. Wszystko było w porządku i na miejscu: wzrost, świeżość i siła. Lat dziewiętnaście. Co prawda zachowuje się dziko i odrażająco, ale trzeba to kłaść na karb jej obecnego stanu i nastroju. Po czym odprowadzili ją do klatki.

Nabywca, który obejrzał niewolnicę, tutejszy, niejaki Hasan Ibisz, był jednym z pierwszych agów w tym nadmorskim mieście, może nie tyle ze względu na szacunek, jakim się cieszył, ile niewątpliwie z uwagi na majątek, jaki posiadał. Chudy, o zapadłej klatce piersiowej i twarzy, spokojnie palił i bez cienia zainteresowania mierzył wzrokiem duże, wspaniałe ciało obracającej się przed nim wiejskiej dziewczyny. Następnie puszczając powoli kłęby dymu równie obojętnie rozmawiał z Uzun Alim

o jej cenie.

Zachrypniętym głosem oznajmiał handlarzowi, że dwadzieścia jeden dukatów to niesłychana suma, zbyt wygórowana, a tak ustawiona, żeby nabywca dał się złapać, „zaokrąglił” i zaproponował dwadzieścia dukatów, ale tak ślepych klientów nie znajdzie nawet w korcu maku.

Jeśli ktoś zaofiaruje mu piętnaście, najwyżej szesnaście dukatów, powinien być szczęśliwy. I to w jakiejś odległej mieścinnie, po dłuższej podróży i większych kosztach, bo tutaj nie znajdzie nabywcy nawet za tę cenę. Towar pospolity, na odkup trudno liczyć, bo wieś, z której niewolnica pochodzi, została zrównana z ziemią, wszystko zaś, co żyło, wymordowane. No i w końcu hercegowińskiego niewolnika trudno utrzymać, bo łatwo ucieka.

Handlarz odpowiada nieco żywiej, ale też z udaną obojętnością, pyta Hasan agę, czy kiedykolwiek sprowadzono takiego żeńskiego niewolnika do tej mieściny. Hasan aga milczy i tylko macha ręką, handlarz zaś ciągnie swoje:

– To nie dziewczyna, to twarda rzepa. Sam widziałeś. Nie prowadzono jej po targach niewolników ani nie tkwiła po magazynach. A jeżeli chodzi o odkup, nie jest to niewolnik na odkup. Kto raz kupi taki towar – wiedź dobrze! – ten nie wypuści go z ręki. A jeżeli chce sprzedać, może w każdej chwili dostać swoje pieniądze, nawet kilka dukatów więcej. Co do ucieczki, każdy niewolnik może uciec. Zresztą co tu dużo gadać! Espap^[22] sam mówi za siebie! Rzadka okazja!

Dodaje coś jeszcze zniżonym głosem udając serdeczny, tkliwie poufny ton, jakby rzekomo niechcący i ze swoją stratą zdradzał tajemnicę handlową.

Hasan aga słucha z roztargnieniem. Wie doskonale, że w słowach handlarza tkwi i kłamstwo, i prawda, mniej więcej domyśla się, ile

[22] Espap (tur.) – towar. (Przyp. tłum.)

kładstwa, a ile prawdy, ale to nie jest to, co na jego twarzy mimo całej pozornej obojętności wyciska zatroskany, pełen napięcia wyraz. W innym kierunku zmierza jego myśl.

Pochodzi z rodziny niedawno tutaj osiadłej, jest bogatym i wpływowym człowiekiem, ale nuworyszem. I to takim, że nawet we śnie, a cóż dopiero na jawie, nie może wyzbyć się kompleksu niższości, który wszystkie jego wysiłki i wszystkie sukcesy ściąga w dół. Żona wywodzi się z najstarszego i najbardziej poważanego w Novigradzie domu Alajbegowiciów. Ożenił się sześć lat temu. W pierwszym roku urodziła im się dziewczynka. Ledwo udało się utrzymać córeczkę przy życiu. Teraz też jest wątpliwa i niedorozwinięta. A żona chyba już dzieci mieć nie będzie. Hasan aga, który z dawien dawna był znany jako babiarz i człowiek bez umiaru w tych rzeczach, nie poprzestawał nawet w pierwszym roku po ślubie tylko na swojej żonie, a tym bardziej teraz. Tak ustawiał sprawy, że w domu zawsze była jakaś młoda i ładna dziewczyna wśród służby. Nie dlatego, żeby zaspokajał swoje zmysły, ale że własnego gniazda się nie kala, choćby nawet z niewolnicą, lubił obok zimnej, chudej żony i chorowitej córki widzieć dokoła siebie trochę ciała przy kości i piękna. Miłości kupował poza domem, ale to starannie ukrywał przed ludźmi, a zwłaszcza przed żoną. Wyszła jak szczapa, mądra, stanowcza, nade wszystko zaś dumna żona, która surową macierzyńską ręką prowadzi cały dom, z ciężkim sercem godzi się z jego wyskokami, Hasan aga za nic na świecie nie chce obrazić jej i rozgniewać, zarówno ze względu na nią samą, jak i cieszących się szacunkiem jej braci, (Wyrósł bowiem z jej braćmi, razem z nimi wojował, polował i uczestniczył za młodu w najprzeróżniejszych niezwykłych przygodach). Ona mówi niewiele, nie skarży się i nie grozi, ale nie sposób znieść spojrzenia jej niebieskich alajbegowiciowskich oczu.

Wczoraj, gdy Uzun Ali uczynił mu propozycję, w rozmowie z lekka

napomknął, że nadarza się dobra okazja i mógłby za niewielkie pieniądze nabyć niewolnicę, która by pomagała w domu albo pracowała w ogrodzie. Żona popatrzyła na niego z wyrzutem, tak że spuścił wzrok, i powiedziała, że ma dosyć służby, niewolnica jej niepotrzebna i nie ścierpi jej w domu. Powiedziała to cicho, ale twardo i stanowczo, że źle ukrywaną odrazą w głosie. Wobec tego głosu i spojrzenia Hasan aga czuł się zawstydzony i bezsilny, zwykle się cofał i odstępował od swoich zamiarów, przynajmniej pozornie, a sprawę załatwiał później potajemnie i okrężnie; czasami nawet całkiem z niej rezygnował.

Teraz też, gdy tak rozmawia z handlarzem o wartości i cenie tej niewolnicy, przypomina sobie głos i spojrzenie swojej żony i wciąż jeszcze nie jest pewien, co zrobić, i czy w ogóle będzie mógł ją kupić i trzymać wśród swojej służby. Mimo to dalej cedząc słowa przez cybuch targuje się i z przyjemnością, i jakąś prawie zmysłową rozkoszą słucha, jak Uzun Ali sprytnie zachwala swój towar.

A w dole, kilka kroków niżej, siedzi niewolnica w swojej klatce, na podwiniętych nogach, z przymkniętymi oczyma, z głową wsuniętą między dwie grubo ciosane sztachety.

Stara się myśleć i myślami ogarnąć swoje położenie, znaleźć wyjście albo przynajmniej ocenić stopień niemożliwości; na próżno się głowi. Przypomina sobie, że kiedyś umiała myśleć o wszystkim, co działo się dookoła niej, i to nie tylko o przyjemnych rzeczach, lecz także o zagubionym koźlątku albo jakiejś innej stracie, o chorobie albo niezgodzie w domu czy wśród krewnych. Nawet wtedy nie zawsze potrafiła całkowicie i do końca przemyśleć każdej swojej myśli ani znaleźć wyjścia, a jednak mogła myśleć i w myślach go szukać. Lecz było to przed owym czarnym dniem, zanim zniknęła ich wieś, a wraz z nią jej rodzina. Teraz już tego nie potrafi.

Nie ma ani podstaw do myśli, ani zdolności do wysiłku. Nie ma

Pribilović, nie ma jej wsi. Pozostały po niej zgliszcz. Gdy do cna spaliło się tych kilkadziesiąt domów, z których składała się wioska, w tej chwili wyrosły w jej sercu same przez się nowe Pribilovicie: czarne, ciężkie, martwe, leżą jej na piersi i nie pozwalają głęboko oddychać, a ludzie, jej ludzie, jeżeli nie zostali wyrżnięci w pień, to zamienieni w niewolników rozproszyli się po świecie. Ona sama też jest niewolnicą. Tak żyje i jedynie tak może widzieć świat i ludzi dokoła, gdyż obraz świata, jaki w sobie nosiła, okryty nocą wywrócił się na nice. Niewolnikiem jest mężczyzna, niewolnikami są kobieta i dziecko, gdyż od urodzenia aż do śmierci służą komuś i czemuś. Niewolnikiem jest drzewo, niewolnikiem jest gałąź i niebo z chmurami, słońcem i gwiazdami; niewolnicą jest woda i bór, i pszenica, która teraz gdzieś się wykłusza, gdzieś, gdzie nie ma popiołów i zgliszcz; ziarno pszenicy też nie ma ochoty iść pod kamień młyński, ale musi, bo jest niewolnikiem. Niewolnicza jest mowa, którą ludzie dokoła się porozumiewają, bez względu jakim mówią językiem, a cała może sprowadzić się do siedmiu liter: niewola. Niewolą jest całutkie życie, co trwa i mija, jak też to, które jest dopiero w zalążku, niewidzialne i niedosłyszalne. Niewolnikiem jest sen człowieka, niewolnikami są westchnienia, kęs chleba, ła i myśl. Ludzie przychodzą na świat, żeby w niewoli pędzić niewolnicze życie, i schodzić ze świata jako niewolnicy chorób i śmierci. Niewolnik służy niewolnikowi w niewoli, bo niewolnikiem jest nie tylko ten, kogo w pętach wystawią na sprzedaż, lecz także ten, kto go kupuje. Tak, niewolnikiem jest każdy, kto nie oddycha i nie żyje pośród swoich, w Pribilovicach. A Pribilović dawno już nie ma.

Nie ma Pribilović, nie ma domu ani rodziny. A więc nie ma też jej! Byłyby to jedyny lek i najkrótsza droga ratunku. W imię życia wyrzec się życia. Wciąż jej się zwiduje płomień, a wraz z nim nie odstępować jej pragnienie: szczeznąć w tym płomieniu! Szczeznąć, ale do cna, na zawsze, tak samo jak szczezło wszystko, co było jej. Tak, ale w jaki sposób?

Gdy otworzyła oczy, wzrok jej spoczął na jej własnych rękach, zaczerwienionych i silnych, potem przeniósł się na ciężkie, też pełne krwi nogi w cienkich kierpcach. To wszystko dla niej nie istnieje i niepotrzebne jej, ale ot, jest tutaj wbrew jej woli, żywe i gorące. A to wszystko, wraz z oczyma, które widzą, powinno spłonąć i zniknąć, aby mogła wyzwolić się z nieszczęścia i zimy, która w ciągu kilku ostatnich tygodni, na jawie i we śnie, nie przestaje jej dręczyć. Gdyby tak jeszcze to wymazać z pamięci, znów byłaby ze swoimi, tam gdzie jest wszystko jej.

Świat jednak istnieje, świat bez Pribilović, który jest tym samym co niewola i hańba, i nieustający ból, w tym zaś świecie ciało jej pełne krwi, ognia i siły, niezniszczalne – tchnie i trwa. A jeżeli tak jest, niech zniknie świat, calutki, cały ten świat wraz z jej ciałem. Niech nic nie istnieje. A wtedy będzie dobrze, albo przynajmniej znośnie, jako że nie będzie co znosić.

Takie myśli snuły się jej po głowie, jednocześnie zaś zdawała sobie sprawę, że wątlą, chwiejną myślą nic nie może zwojować; nawet kłódki u klatki nie zdoła rozbić, a cóż dopiero zagasić wzrok i krew, i palący oddech w sobie albo choćby ów cały potworny, niewidoczny świat dokoła. Nie może, a jednak wsłuchuje się w tę swoją myśl i wciąż podąża za swoim jedynym pragnieniem.

Wsparta plecami o drewniane poprzeczki swojej klatki, nogami dotyka drobnych kamieni bruku. Splotła palce, oczy zamknęła; gdy na chwilę je otworzy, przenosi wzrok z bruku spod stóp na martwą fasadę jakiejś rudery, na dach i dalej na mury twierdzy i wąski skrawek nad nimi pogodnego nieba. I zaraz przyryka oczy, mocno zaciska, coraz mocniej, jakby ich nawet nie otwierała i jakby nic nie widziała. Nie ma już domów, ani małych ani dużych, wszystko zostało puszczzone z dymem, a to jest złe przywidzenie. Nie ma nieba, jako że zniknęło na zawsze w kłębach dymu i pożodze.

Nie trzeba patrzeć. Ani oddychać. Oddychać to tyle, co przypominać sobie, a to oznacza nie widzieć tego, na co patrzysz, lecz to, co widziałaś w blaskach pożarów i w odmęcie rzezi, widzieć tylko jedno: że nie ma już nikogo twojego, a ty żyjesz jak potwór, i przekleństwo, i hańba. Oto co znaczy oddychać. Zerwała się i zaczęła jak zwierzę przemierzać klatkę od ściany do ściany.

– Nie chcę oddychać! Nie chcę!

Mówiła to półgłosem, sycząc ze złości.

Chodząc tak z kąta w kąt spostrzegła, że stróż, który na chwilę się oddalił, zostawił tuż przy drzwiczkach składany stołek. W pierwszej chwili wpatrzyła się w niego, a potem kucnęła, wysunęła rękę między prętami; złapała stołek za jedną nogę i zaczęła nim obracać i przesuwać, aż udało jej się go złożyć i wciągnąć do klatki. Nie kojarząc myśli i nie wyjaśniając sobie swoich postępów, odeszła w przeciwny kąt klatki, rozłożyła składany stołek tuż przy sztachetkach, a potem weszła na niego, jak zwykle robić dziecko, które zostawisz samo w domu zaczyna wymyślać niezwykle zabawy.

Opierała się coraz silniej o dwie poprzeczki, między które coraz głębiej wsuwała głowę. Jednocześnie mocno przyciskała nogami stołek pod sobą.

Bywało tak dawno, w dzieciennych latach, że siadała na drewnianym zydłu, na którym zwykł siadywać tylko jej ojciec, i całym ciężarem swojego małego ciała kołysała się i to tylko na dwóch nogach ogromnego trójnożnego stołka. Kołysze się, kołysze, znajdując chorobliwą przyjemność w obawie, że mogłaby stracić równowagę i upaść razem z zydłem. Podobnie jest teraz. Kiwa się, kiwa, o mało nie upadnie, i znowu wraca do równowagi, ale za każdym razem coraz rzadziej wraca, a coraz silniej wciska głowę między dwie żerdzie. Strasznie to boli, piecze jak płomień. Tak, płomień, właśnie tego chce w tej chwili, gdy z tym samym

wysiłkiem, na jakie każde młode ciało się zdobywa dla zachowania równowagi i obrony, szuka swojej zagłady. Zniknąć, żeby wszystko znikło...

Tak jest, niech zniknie wszystko, wszystko, co żyje i oddycha, co jest realne i namacalne i co ma związek z ludźmi, z ogniem, bitwą, rzezią albo jasyrem. Niech wszystko przepadnie! A może wcale go nie było? Tak, nigdy, przenigdy! Lepiej tak! Oznacza to, że nie było i nie może być ani krwi, ani pożogi, ani jasyru, ani rozpaczy, ani rozstania z ukochanymi. Niczego!

Tylko w dwóch punktach opierała się o twardą podporę, potylicą i stopami, a między tymi dwoma punktami wygięte w kurczowym łuku całe jej ciało niby śniętej ryby. Jęcząc z cicha, zaciska zęby i pręży mięśnie. Zdaje się jej, że tym sposobem mogłaby zatrzymać też bicie serca; skończyłyby się skurcz i serce przestałoby wreszcie kołatać, zapadłaby wieczna nie kończąca się noc i zniknęłaby ona i cały świat.

Opiera się coraz silniej, a w głowie przygwożdżonej dwiema sękatymi żerdziami czuje coraz ostrzejszy ból, stopniowo przechodzący w tępe wiercenie. To ona wraz z wielkim ojcowskim zydlem z dziecinnych lat przewróciła się i kołysze w nienaturalnej pozycji; jej stopy już nie dotykają ani stołeczka, ani bruku, a ciało jej zwisa wzdłuż drewnianych żerdzi, z zaciśniętą między nimi szyją.

Jakby nagle świat wywrócił się do góry nogami: na jej stopach bez podpory teraz spoczywa cała ziemia, całym ciężarem okrutnie włacza jej głowę coraz głębiej między dwie twarde żerdzie, zmieniające się w pętlę, w „przesmyk, przez który trzeba gdzieś przejść na drugą stronę, jak w chwili rodzenia. Tępo i słabo, ale niespodziewanie boleśnie coś trzasnęło w stosie pacierzowym i wraz z tym trzaśnięciem zalewa ją fala ciemności.

Zanim ta ciemna, a ognista fala zdążyła ogarnąć ją całą, jeszcze raz odezwał się w niej instynkt i strach; nagle zapragnęła uratować się

i wrócić do normalnej pozycji. Niby błyskawica wytrysnęła i załała jej świadomość nowa, przemożna chęć, by się wyrwać i bronić przed tym uciskiem i dławieniem. Nie, nie to! Nie śmierć! Niech boli, niech męczy, ale niech nie zabija! Żyć, tylko żyć, byle jak i byle gdzie, choćby bez kogoś bliskiego, choćby niewolnikiem w upodleniu. Ale trwało to zaledwie tyle, ile zwykła trwać błyskawica. Jeszcze raz wyprężyła się konwulsyjnie, tępo uderzyła o poprzeczki i znieruchomiła głową w dół.

Pod wielkim ciężarem mięśnie szybko osłabły. Całe jej pole widzenia i ostatnie myśli wypełniły ciemności, na które już nie ma sposobu, bo sama zamienia się w bezruch i ciemność. I wbrew jej życzeniu, ot, świat naprawdę znika. Strasznie. Rzeczywiście. Zupełnie i na zawsze.

Zwiotczałe ciało zwisa teraz bez ruchu.

Gdy jeden ze stróżów przechodził tędy i obojętnie rzucił okiem na klatkę, spostrzegł ze zdumieniem duże ciało pięknej niewolnicy wiszące nisko, z głową w kleszczach żerdzi. Zaczął przywoływać kolegę, który miał klucze.

Obydwaj wpadli jednocześnie do klatki. Przekonali się, że dziewczyna była jeszcze ciepła. Twarz blada, ale już nieco zmieniona. Przeżażeni i zmieszani ledwo zdołali ją trochę unieść i wydostać głowę z uchwytu. Jak u topielca ciało opadło na ziemię i pozostało już tak zgięte. Wyciągnęli je, uklękli i wszelkimi sposobami usiłowali ocucić, ale na próżno.

Trwało to długo. A gdy stróż się podnieśli, długo stali przy jej głowie z bezsilnie opuszczonymi ramionami, jeden z lewej strony, drugi z prawej. Patrzyli po sobie i bezgłośnie zastanawiali się: kto pierwszy odważy się stanąć przed panem, spojrzeć mu w oczy i donieść o stracie i wielkiej szkodzie, jaka go spotkała.

ŻYWOTY

Dzisiaj morze też podpłynęło pod okna mojego sarajewskiego domu na wzgórzu – dalekie Morze Śródziemne! – i zbudziło mnie pluskiem fal i hukiem maszyn na białym, staroświeckim stateczku żeglugi przybrzeżnej w Zatoce Genueńskiej. Był to sen, ale taki, który nawet na jawie nie opuszcza mnie i który przyniósł długie, uporczywe wspomnienie o małej, ale wciąż jeszcze żywej przygodzie z dawnych lat.

Podróżując niegdyś z dwoma przyjaciółmi po północnych Włoszech, odwiedziliśmy w okolicy starego miasteczka nadmorskiego pewnego dziwaka i namiętnego kolekcjonera najprzeróżniejszych staroci. Jeszcze na statku dowiedziałem się w trakcie rozmowy niemało szczegółów o nim.

Wiadomo, że pochodził z zamożnej, znanej genueńskiej rodziny mieszczańskiej. Wszyscy tytułowali go profesorem, chociaż już dawno, jeszcze jako młody człowiek, w wieku trzydziestu kilku lat zrezygnował z pracy w wyższej szkole morskiej i zaszył się w tym pustkowiu. Położony dobre trzy kilometry od wybrzeża i ospałego miasteczka dom jego stał pośród zieleni, wciśnięty między zbocza stromych wzgórz. Dróżka wiodąca do niego była kamienista i źle utrzymana.

Tutaj mieszkał jako swego rodzaju pustelnik i oryginał ten człowiek, który nie szukał bliższych kontaktów z licznymi turystami. Sam przyrządzał sobie posiłki, które składały się z chleba, mleka i świeżych lub gotowanych owoców, sam uprawiał swój ogród i pielęgnował sad z pomocą głuchoniemego ogrodnika z sąsiedniej wioski. Hodował gołębie i inne ptactwo, właściwie sam sprzątał kilka pokoi na pięterku zawalonych dziełami sztuki i niezwykłymi okazami z Europy, Afryki i Azji. Były tu rzadkie meble, najprzeróżniejsze narzędzia, uprzęże, dzwonki i

dzwoneczki, trąby i bębny, niskie okrągłe stoliczki, naczynia, lampy, latarnie i świeczniki najrozmaitszych rodzajów i kształtów, obrazy, mapy, sztandary i flagi. Jedynie broni prawie wcale nie było. Przedmioty te same w sobie były osobliwe i wyjątkowego wyglądu, pochodzenia lub nazwy; często łączyła się z nimi jakaś ciekawa historia. Niejedno małe muzeum mogło pozazdrościć temu samotnemu zbieraczowi jego kolekcji.

Niektóre eksponaty profesor przejął w spadku, większość zakupił za młodu, podczas swoich podróży. Zbiory uzupełniał i odnawiał również obecnie drogą zakupów lub wymiany. Sam czyścił i konserwował swoje skarby i udzielał obszernych, interesujących wyjaśnień zwiedzającym, których bywało niemało, zwłaszcza w lecie. Ludzie od dawna przyzwyczaili się uważać samotny dom profesora za muzeum, a jego traktować jako dobrowolnego założyciela, kustosza i przewodnika po tymże muzeum. Prace te wykonywał jako naturalny obowiązek z dziwną pilnością. (Niektórym turystom, gdy chciał okazać szczególne względy, pokazywał też swój grobowiec, ukryty pośród ogrodowej zieleni, okolony białym kamieniem, wyjaśniając z uśmiechem, że w testamencie zażyczył sobie, aby tutaj był pochowany, całe zaś swoje mienie zapisał Gminie). Rzecz ciekawa, nie miał w sobie nic ze skrytego odludka. Poważny i opanowany, ale pogodny i uprzejmy wobec każdego, nawet najmniejsze dziecko witał jakby nieco wstydliwie i wesoło. A mimo to nie sposób powiedzieć, że tutejsi mieszkańcy darzą go szczególną sympatią, sporo jest takich, którzy nawet po tylu latach i po tylu dowodach altruizmu i humanitaryzmu po trosze stronią od niego, ale wszyscy go szanują jako człowieka uczciwego i życzliwego. Ma licznych znajomych rozproszonych po całej Italii, częściowo też po świecie. Turyści, którzy raz zwiedzają jego muzeum, często później piszą do niego z podziękowaniami lub radami, posyłają książki albo foldery. Koresponduje z wieloma antykwariuszami lub amatorami i z kolekcjonerami staroci. Rokrocznie zimą wyjeżdża na

kilka tygodni zamknąwszy swoje zbiory, zostawiając na parterze domu w charakterze stróża wspomnianego ogrodnika. Podczas tych zimowych wojaży spotyka się ze znajomymi i „handlowymi partnerami, których ma sporo, zwiedza muzea i biblioteki.

Podczas gdy my trzej wzorem tylu innych turystów zwiedzaliśmy starodawne miasteczko nad brzegiem morza i jego niecodzienne muzeum, sześćdziesięcioletni profesor obchodził trzydziestą rocznicę przybycia do tej miejscowości, do tego samego domu, gdzie wiódł niezmienny tryb życia. Był zupełnie siwy, ale porusza! się żwawo, lekkim krokiem, a już niestrudzony był w pracy.

Chodząc z innymi po domu profesora, z pokoju do pokoju, oglądając kolekcje, uważnie słuchałem jego wyjaśnień i anegdot, które opowiada! ze zdumiewającym zapałem. Ilekroć w tych dykteryjkach była mowa o kobietach i miłości, a bywała często, profesor zatrzymywał się na chwilę przy jakimś przedmiocie, zaprawiając swoje słowa uśmiechem jakby zażenowania, co było dla mnie jakoś dziwnie nieprzyjemne. Na wszystkie zadawane mu pytania odpowiadał biegle i obszernie, jakby odpowiedzi miał w pogotowiu. Ja o nic nie pytałem.

W swych wyjaśnieniach czuł się pewnie jak ktoś, kto ma przed sobą laików, i zachowywał się spokojnie. Tylko czasami, i to na chwilą na nieuchwytne krótkie mgnienie, spojrzenie przenosił z eksponatu na nasze twarze jakby lękliwie, badawczo.

Gdy znowu znaleźliśmy się w ogrodzie, a zamierzałem opuścić już muzeum, profesor ujął mnie za łokieć, odprowadził nieco na bok i pokazał mi swój przyszyły grób. Ponieważ nie zareagowałem na to ani słowem, profesor był jakby zbity z tropu. Domyśliłem się tego po jego nerwowym spojrzeniu, którym usiłował mnie przeniknąć.

Już zegnaliśmy się dziękując profesorowi, gdy nagle, tak jak stał bez nakrycia głowy i w lekkim ubraniu, postanowił odprowadzić nas do

statku. Przez całą drogę usta mu się nie zamykały, odpowiadał na wszelkie pytania wyczerpująco, zadając sobie nowe, jak ktoś, komu zależy, by czas wypełnić rozmową i rozmowie tej samemu nadać kierunek. Słowa jego najczęściej były skierowane pod moim adresem, jako że po drodze stale zatrzymywał się przy mnie.

Gdy przybyliśmy na brzeg, było południe i statek miał lada chwila odbić od brzegu. Szybko weszliśmy na pokład i z góry jeszcze machaliśmy profesorowi, który stał na molo. Znowu odniosłem wrażenie, że oczyma usiłuje uchwycić moje spojrzenie. W każdym razie machał oburącz jak stary znajomy i coś mówił, ale dzwonek okrętowy, obwieszczający odjazd, i huk starych maszyn zagłuszyły jego słowa, tak że nie sposób było cokolwiek zrozumieć. Statek ociężałe dryfował i powoli odbijał od brzegu, skrzypiąc i dygocząc. Drzenie jego udzieliło się i mnie.

W tej chwili, niesiony hałasem, głosami, ruchem na statku i brzegu, załamywaniem się silnego światła na niebie i w spienionych falach wokół statku, odniosłem dziwne wrażenie, że wszystko dokoła przesuwa się wraz ze mną, rusza i zmienia. Wybrzeże nagle zaczęło gdzieś uciekać, w przeciwnym kierunku. Morze pod nami nieustannie odpływa i pustoszeje, podczas gdy niebo niepostrzeżenie przesuwa się nad nami niby ogromna ruchoma kopuła. Spadamy na dno, wzbijamy się w górę i razem płyniemy. Ruszamy w jakimś nowym kierunku, którego nie sposób nazwać ani „naprzód” ani „w tył”, ani „na dół”, ani „w górę”. Tak to przez kilka sekund znajdowałem się poza wszelkimi stanami i znanymi pozycjami, które nazywamy w określony sposób i łączymy z nimi ustalone wyobrażenia.

Nagle w mojej świadomości, jakby dokoła mnie, olśniło mnie nowe światło; w głębi dalekiego horyzontu, teraz rozjaśnionego, ukazały się przede mną niespotykane obrazy i otworzyły dalekie szlaki. Nie wiedziałem dokładnie, gdzie jestem, ale zdawałem sobie sprawę, że wszędzie mogę dotrzeć, wszystko pojąć na ziemi i między ludźmi, wszystko bezbłądnie

skojarzyć z ich przyczynami, przewidzieć zakończenie tak samo jak początek.

Podczas gdy statek przy wtórze syreny, huku maszyn i szumie morza coraz bardziej odwracał się rufą, mogłem jeszcze w stale zmieniającej się perspektywie widzieć, jak profesor miną i gestami śle ostatnie pozdrowienia, i na nie odpowiadać.

W owej niezwyklej i krótkiej jak błyskawica chwili olśnienia pojąłem nagle wszystko. Przecież ten człowiek nosi szczelnie przylegającą maskę od głowy do stóp; świadczy o tym nie tylko jego powierzchowność, lecz także sposób bycia. I ta osobliwa, dziwaczna egzystencja, i ta ogromna, jedyna pasja gromadzenia rzadkich okazów i staroci, i te anegdoty, które tak chętnie opowiada turystom, i ten spokój i beztroska wobec otaczającego go świata, i grób już gotowy pośród zieleni – to wszystko jest jedną wielką maską. Całe jego obecne życie’ jest tylko surogatem innego życia, z którego dawno zrezygnował, zanim rozpoczął żyć.

Z brzegu profesor – jak mnie się zdawało – gestami i miną potwierdzał moją myśl.

– Ma pan rację! To nie moje życie, co pan widział.

– Wiem, wiem – odpowiedziałem spojrzeniem i rękami, chcąc uwolnić go od zażenowania i oszczędzić przykrych wyjaśnień.

– Moje życie, nie sążone mi przeżyć innego, a to tutaj to tylko namiastka...

A mowę jego znaków wyjaśniłem sobie oto tale: To wszystko działa się i rozstrzygnęło już dawno, wówczas gdy jako latorośl znakomitego rodu i młody naukowiec „rokujący duże nadzieje” objął profesurę w Akademii Morskiej. Wszystkim się wydawało, że ma przed sobą prostą, jasną drogę wybrańca losu, on zaś już wtedy zdawał sobie sprawę, że długo nie będzie nią podążał. Na podstawie niektórych swoich postępów, a jeszcze bardziej niektórych tylko jemu znanych popędów i skłonności czuł, że wszystko

go sprowadza na manowce, których bał się bardziej niż śmierci. (Należał do tych rzadkich ludzi, którym jest dane już w młodości poznać siebie i przewidzieć, co ich czeka). Przeżył wówczas ciężki kryzys, z którego były tylko dwa wyjścia: jedno – szaleństwo i samobójstwo, a drugie – wstrzeźliwość i żywot pustelniczy. Nadludzkim wysiłkiem rozumu i woli, jaką zdołał jeszcze wykrzesać, wybrał to drugie. Opuścił rodzinę, kolegów, stanowisko i „piękną przyszłość”. W sposób nie rzucający się w oczy, powoli, jakby zupełnie naturalnie. Kilka pierwszych lat zeszło mu na podróżach. Potem osiadł ze swoimi kolekcjami na tym wybrzeżu, opodal zapadłego nadmorskiego miasteczka. Bardzo szybko zamienił się w czupurnego staruszka i zasłynął jako dziwak i miłośnik antyków. To mu było potrzebne. Żył tu sobie, miły i pożyteczny dla wszystkich, obcy sam sobie, wobec nikogo szczery ani bliski. I tak to, czepiając się jak rozbitek strzępów cudzej egzystencji, zdołał utrzymać się na powierzchni, uniknąć swojego prawdziwego życia, takiego, jakie mogło być i byłoby, i dalej istnieć, żyć i pracować pod płaszczykiem owej niewinnej, trochę niezwykłej osobowości. A żyć zawsze jest dobrze. Grunt to żyć.

Kilka jego gestów i spojrzeń wszystko to mi zaradziło.

Tak samo ja mu odpowiadałem.

– Wiem, wiem. I życzę panu wszelkiej pomyślności!

Wiem i rozumiem! Wielu miało utrapienie z życiem. Gdy człowiek przychodzi na świat, to tak jakby go rzucono na głębinę bezmiernego oceanu. Trzeba pływać. Istnieć. Mieć swoje oblicze. Znieść ciśnienie atmosferyczne dokoła siebie, zdarzenia, zaskakujące i trudne do przewidzenia konflikty, postęпки swoje i cudze, które najczęściej nie są na naszą miarę; a ponadto znieść jeszcze – własną myśl o tym wszystkim. Niełatwa to i nieprosta rzecz, jakże często ponad nasze siły. Nic dziwnego więc, że człowiek pragnie ratować się i ukryć pod inną formą egzystencji. Wielu by tak zrobiło, gdyby tylko potrafili i mogli; wielu jest tylko dlatego

tym, czym jest, gdyż musi i nie śmie lub nie umie przeobrazić się tak jak pan.

Profesor znakami potwierdza, że zgadłem, dziękuje za zrozumienie i dodaje od siebie jeszcze jakieś wyjaśnienie. Była to przyjacielska rozmowa bez słów, ze spojrzeń, uśmiechów i gestów utkana.

Wtem statek zakończył swój okrężny manewr i poźeglował na otwarte morze. Zniknął brzeg wraz z profesorem. Wcale nie starałem się przebiec na drugą stronę pokładu, żeby go jeszcze raz zobaczyć. Płynęliśmy spokojnie, chociaż niezbyt szybko, przed nami otwierał się bezmiar wód, a nad nami niebo usiane drobnymi, perłowymi obłoczkami. Wzruszony miałem ochotę na dalszą rozmowę, rozmawiałem więc teraz z tymi obłoczkami, ale innymi słowy i o zgoła innych sprawach.

Słońce wzbija się wysoko nad Sarajewem, dzień umyka, a moje uparte wspomnienie jakoś mnie nie opuszcza. Stoję wsparty o balustradę drewnianego ganku i wpatruję się w panoramę miasta, w którym prócz białych minaretów snuje się jeszcze cudowna, jakby pieszczotliwa mgiełka; od czasu do czasu zda mi się, że unoszą mnie fale Zatoki Genueńskiej. Na pokładzie białego, staroświeckiego statku, który dygocze i odwraca się, sam drżąc odrywam się od skalistego brzegu i patrzę, jak przyjaznym gestem pozdrawia mnie profesor. Wiatr mierzwi jego siwą, jeszcze gęstą czuprynę. Jak niegdyś przed tylu laty. Zastanawiam się, czy on jeszcze żyje (jeżeli tak, musi być bardzo sędziwy!), a może uwolnił się wreszcie od życia, tego „rzeczywistego” w swoim zapadłym muzeum nad morzem, oraz tamtego, które powinno być jego życiem, ale którego szczęśliwie udało mu się uniknąć.

MIŁOŚĆ

Nie tylko poszczególni ludzie czy całe grupy zaglądną do mnie, przychodzą pod mój dom albo wpadają do pokoju, czegoś ode mnie żądają, zabierają mi czas, odwracają tok moich myśli, dowolnie wpływają na zmiany moich nastrojów. Całe krajobrazy lub miasta, ulice lub mieszkania niby zwiewne wizje nadlatują na fali wspomnień, aby tutaj, na moim papierze znaleźć swój ostateczny kształt, właściwe znaczenie i interpretację.

Chyba zawsze tak bywało. Tyle tylko, że teraz w owej letniej ciszy i wielkiej samotności zdarza się to częściej i żywiej. Nieustannie przypominam sobie miasta, nie tylko wielkie, ale też nieduże miasteczka. Pogłosy i zapachy dokoła mnie, znaki i zjawiska na niebie, zmiany zaszły we mnie i gesty, plamki światła mojej własnej krwi pod przymkniętymi powiekami, niespodziewane wspomnienia, nawet postacie i zdarzenia ze snów – wszystko to może przywołać obraz miast i miejscowości, w których niegdyś przebywałem, po których chodziłem albo które tylko widziałem z dala zarysowane niby ostrą sylwetkę w głębi horyzontu. O żadnym mieście nie sposób powiedzieć, że zdołał całkiem wymazać je z pamięci. Nie zjawiają się często i nigdy kilka naraz, ale wiem, że wszystkie żyją w mojej podświadomości i że każde z nich, nawet po wielu latach, może wyłonić się we wspomnieniu, powiększone lub pomniejszone, ale zawsze przeobrażone jak nagle, nieprawdopodobne przywidzenie. Często to mnie nuży, niekiedy nawet męczy, ale nie umiem obronić się i nie potrafię zaradzić tej kapryśnej, uporczywej grze. Tale więc miasta, ulice i domy albo tylko fragmenty ulic i domów wyrastają przed oczyma mojej wyobraźni i zadają mi pytania albo domagają się ode mnie niby nie spłaconego długu odpowiedzi na dawne pytania, na

które niegdyś nie umiałem jej dać. Przysyłają mi cały świat, tak że nie widzę nic z otoczenia, żywego i realnego, i nie chcą zejść mi z drogi ani z oczu. Porzucam więc wszystkie swoje myśli i troski, zaniedbuję pracę i tracę czas, a zmagam się z mgławicami i fatamorganą odległych krain i cudzych losów.

Południe Francji. O zmierzchu przybyłem do nadmorskiego miasteczka. Na ulicach wielki ruch. Było to chyba w przeddzień jakiegoś święta. Okna kawiarni i restauracji przyozdobione kolorowymi, papierowymi wstęgami. Napisy wzywające ludność do spędzenia tutaj przedświątecznej nocy. Stałem w starym hotelu w centrum miasta, ale od razu wybrałem się na spacer. Po dłuższej wędrówce natrafiłem w jakiejś bocznej uliczce na małe bistro pozbawione uroczystego nastroju. Zjadłem tu kolację. W barze, jak zresztą na całej ulicy, było ciemno, dziwnie cicho, prawie pusto. Ponury szef i pomocnik. Zaledwie kilku gości, którzy szybko rozchodzili się zjadłszy posiłek i wychyliwszy napój. Przy sąsiednim stoliku skromnie ubrana kobieta. Białolica, jędrna, dobrze zbudowana, ale jej twarzy i toalecie udzieliło się coś z nieprzyjemnej ciszy baru i ulicy. Nietrudno było odgadnąć jej właściwą profesję. Pierwsza zagadała. Czy jestem podróżnym, czy przechodniem? Odpowiedziałem jakoś wymijająco i poczęstowałem. Jedliśmy długo, popijając czerwonym winem. Po kawie zapaliliśmy papierosy, z kolei ona zaprosiła mnie do siebie na likier.

Mieszkanko, znajdujące się opodal, składało się z obszernego pokoju zastawionego tanimi, brudnymi, zniszczonymi sprzętami, oraz z kuchenki, w której wyraźnie niewiele i rzadko się gotuje. Panowała tu zagęszczona, przykra, zimna pustka, jaką była wypełniona ulica, którą przyszlismy, oraz bar, w którym jedliśmy kolację.

Kobieta już wcześniej była na małym rauszu. Teraz wychyliła gwałtownie kilka kieliszków likieru częstując też mnie. Pogrzyżyła się w

zadumie. Powiedziała, patrząc z roztargnieniem w zasłonięte okno, że miło jej, gdy może tak sobie z kimś posiedzieć; wychyliła jeszcze jeden i jeszcze jeden kieliszek. A wtedy język jej się całkiem rozwiązał. Nagle. I to w sposób niespodziewany i niezwykły.

Nikt nie wie i nikt nie może pojąć jej męki. Żyła nieźle, jak żyją kobiety jej autoramentu. Miała kilku stałych klientów, między innymi dwóch czy trzech: poważnych, zamożnych panów. I wszystko było dobrze, póki nie zjawił się „jej mężczyzna”. Pracuje w Komendzie Marynarki Wojennej, jest sierżantem. Rosły, silny, przystojny, ale...

– Zwierz, dziki zwierz, proszę pana! Co ja mówię? Nawet dzikiego zwierza można obłaskawić, a jego nigdy niczym w żaden sposób. To satrapa, jakich nie ma pośród chrześcijan. Nie umiem powiedzieć, co nas łączy, ani też nikt by tego nie pojął. Nie możemy bez siebie, a żyjemy...

Urwała na chwilę, strzepnąwszy bezradnie ręką, jakby nie chciała więcej mówić, ale wnet się rozmyśliła i ciągnęła dalej:

– A żyjemy, jeżeli można to nazwać życiem, jak nikt. Ledwo spotkamy się, zaczyna się między nami zawsze ta sama gra: ja coś miłego, on – przekleństwo, ja pieszczotę, on – uderzenie. Często trwa to bardzo długo. I o dziwo, im dalej, tym jego kuksańce mniej mnie bolą; wydaje mi się, że każdy cios wznosi mnie coraz wyżej, że lecę niby na ognistych falach i mogłabym tak lecieć, sama nie wiem dokąd, w górę i w dal. Wtedy on pierwszy się zmęczy i przestanie się znęcać nade mną. Dopiero później widzę, że mam całe ciało posiniaczone, i dopiero wtedy czuję, jak każde uderzenie naprawdę mnie boli. Nienawidzę go wtedy tak samo jak swoich grzechów. Czasami zaraz z początku ogarnia mnie strach, że gotów mnie zabić, uciekam więc do kuchni i zamykam się na klucz. Czasami szybko mu się to znudzi, przestanie i pogardliwie odwraca się ode mnie.

„Dlaczego mnie bijesz? – pytam w takich chwilach, usiłując zajrzeć mu w twarz i uchwycić jego spojrzenie. – Dlaczego?”

Nie ma odpowiedzi. Gdybyż popatrzył na mnie, może bym coś wyczytała z jego oczu, ale nie chce. Nie chce, przeklęty potwór, tylko odwraca głowę i – milczy. Ani myśli mnie porzucić, lecz zostaje tu i przy lada okazji znowu pastwi się nade mną.

Ach, istne piekło! Muszę przyznać uczciwie, że bywają rzadkie, bardzo rzadkie chwile zacisza. Wtedy jest taki, jakim mógłby być najmilszy i najukochańszy człowiek na świecie. Wiem, że nigdy nim nie będzie, ale tak mi się zdaje!) Nic nie mówi, tylko siedzi i patrzy, ale tak, że nie wiem, co bym zrobiła ze szczęścia, że jest tu, przy mnie. Zasłaniam sobie twarz jego białą, lekką czapką niby maską. Czapka ta pachnie wewnątrz jego włosami i – proszę mi wierzyć! – poziomkami. Nie jakimiś perfumami, jakąś tanią fryzjerską wodą, ale naprawdę lasem i poziomkami w ciepły, spokojny letni dzień. To wszystko, co mogę od niego mieć. A jednak w takich chwilach chyba jestem w raj. Tylko zdarza się to rzadko i nie trwa długo. Mam wrażenie, że śniłam. A potem znowu jest po dawnemu. Potwór! Nic go nie pociąga, niczego nie kocha i nie ceni. Do kina nie chodzi, w karty nie gra, sport go nie interesuje, gazet nie czyta. To wszystko, podług niego – funta kłaków niewarte. Nie sposób znaleźć czegoś, na czym by mu zależało. Ugotuję coś do jedzenia, coś smacznego, specjalnego; jeżeli jest głodny, zje bez słowa, jeżeli nie jest głodny – odwróci talerz do góry dnem i pokaże mi plecy. Nigdy się nie uśmiecha, nie odezwie się po ludzku. Nawet spojrzeniem nie chce odpowiedzieć na moje słowa. Może rzeczywiście nie słyszy, co mówię do niego. Myślę, że nawet nie wie, jak mam na imię, przynajmniej nigdy nie zwraca się do mnie po imieniu. Żyjemy prymitywnie. Gdy mu to mówię, odwraca głowę. Zebrawszy wszystkie siły, pytam, jak to jest, że tak często ze mną przebywa, a ja dla niego nie istnieję. Nie jest nawet zazdrosny o mnie. Jak to możliwe? – On zaraz jak nie huknie: „Zamilcz! Bo oberwiesz! Ja mam już dość tego bicia”. I trzaska drzwiami za sobą. Ale jutro albo pojutrze

znowu przyjdzie. I znowu ta sama polka! Naprawdę, proszę mi wierzyć.

Zerwała się, trochę się cofnęła i uniosła spódnicę, lekko i naturalnie, jak zwykły to robić wiejskie kobiety nad potokiem, gdy zamierzają przejść na drugi brzeg. Ujrzałem biel toczonego uda, a obok duży, kształtu i wielkości żołnierskiego buta siniak.

Zachnąłem się zawstydzony i zmieszany; jakbym nagle odkrył nowe, druzgocące oblicze natury, w której wszyscy żyjemy i w której dotąd ja sam też żyłem. Nie wiedziałem, co począć z oczami ani co powiedzieć. Z zakłopotania wybawiła mnie sama pani domu. – Przepraszam! – szepnęła głębokim, chrapliwym głosem, opuściła spódnicę tak szybko, jak szybko ją zadarła, i usiadła, by kontynuować rozmowę.

– Otóż to mam po nim od wczoraj. Z okazji święta! No i gdzieś przepadł na dwa dni. Pewnie wyjechał do rodziców. Nie śmiałam pytać. Przyjdzie pojutrze. Na pewno. A po co? Żeby cicho siedzieć albo kłać i bić, ile wlezie. I tak to z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. Przykleiłam się do niego, tak że żywa nie zdołam się odlepić. Żyjemy jak zwierzęta. Znoszę, czego by nikt nie zniósł. Gdybym była psem przy jego boku, więcej uwagi by mi poświęcił i lepiej by się ze mną obchodził. Rozumiem, że tak dalek nie można. A jednak trwa; ale ja się męczę i wciąż umieram ze strachu. Boję się, boję, proszę pana. Bo wiem, pewnego dnia go zakatrupię, jak Bóg na niebie, zakatrupię. Wpakuję mu w łeb pięć kul, jak bestii.

Znowu wstała i wyjęła z szufladki nocnego stolika mały rewolwer bębenkowy. Pokazała mi go na złożonych dłoniach jak na porcelanowym talerzu i jakby zaklinając i zamawiając uroki ciągnęła dalej:

– Wszystko przygotowałam. A teraz tylko drzę i czekam. Wiem, że zabiję go w złej chwili. Niechybnie. Zabiję, a kocham go. Niech Bóg mi wybaczy! Kocham, kocham, kocham! Stracę go i zgubię siebie. Prawdę powiedziawszy nie mam go wcale, a i tak jestem zgubiona. Ale cóż mi pozostało i co mogę zrobić? Drzeć i czekać. Na tym schodzi mi życie. A

czuję, wyraźnie czuję, że to nie może dobrze się skończyć.

Tego wieczoru jeszcze dobrze się skończyło.

O jakiejś porze nocy zdobyłem się na przerwanie jej opowiadania, które snuła coraz wolniej, wstałem i pożegnałem się. Potężna kobieta odprowadziła mnie do bramy, dziękując za zaszczyt, uwagę i cierpliwość.

Barek na rogu już był zamknięty. Stara uliczka wypełniona cieniami i przykrą ciszą.

Już późna pora. Po długiej wędrówce wróciłem do centrum miasta. Tutaj jeszcze wrzało. Wszystkie większe kawiarnie otwarte, jarzą się światłami. Zmęczony, miałem ochotę czegoś się napić, ale właśnie to ożywienie i powódź światła odstręczyły mnie od wstąpienia do jakiegokolwiek lokalu. Brama mojego hotelu była już zamknięta. Musiałem zadzwonić.

Sięgnąłem do dzwonka nieśmiało, jakby w niejasnym poczuciu winy. Zapewne już bardzo późno. Cóż za przedziwne wrażenie powrotu z bardzo daleka.

ZUJA

Gdy ktoś jest znany tylko pod przydomkiem, otrzymanym za młodu, to dużo mówi o nim i jego położeniu wśród ludzi. Ta niemłoda kobieta, która żyje już tylko w moim przeludnionym wspomnieniu, zgięta wpół, zawsze w szarej chusteczce zawiązanej pod brodą, to Zuja. Tylko tak i nic więcej. Przywiązana do licznej bogatej rodziny Aleksiciów. Domy ich stoją pół godziny marszu od kasaby^[23], w górach, nad bystrą górską rzeką spiętą klamrami jazów, z dużym tartakiem, młynem i wieloma zabudowaniami. Jest to istne małe osiedle, które wszyscy nazywają jazami Aleksicia.

Owa niewiasta o szerokiej poczciwej twarzy, o małym spłaszczonym nosku i jasnych bezbarwnych oczach, które zawsze mają nieco zdziwiony lub przerażony wyraz, ale tylko trochę, jakby filuternie żartobliwy – była tutaj i dobrowolnym niewolnikiem, i dożywotną służącą, i najdroższym członkiem rodziny. Pomarszczona, ale rumiana, drobna i szczupła, ale silna i żwawa Zuja wykonywała wszelkie prace i istniała tylko dla nich; najwięcej jednak zajmowała się dziećmi. Wychowała dwa pokolenia młodych latorośli gospodarzy. Gdy które przychodziło na świat, chłopiec czy dziewczynka, odbierała je, wychowywała, pouczała i towarzyszyła, jeżeli przedwcześnie nie zgasło, do wesela. Ród Aleksiciów jest rozległy i żyje w gromadzie, są tu synowie i zięciowie; Zuja nigdy nie mogła skarżyć się na brak zajęcia, ale też nigdy nie była zmęczona, by nie móc na swoje kościste i wiecznie czerwone ręce przyjąć noworodka niby bocheneczek świeżego chleba.

Dla córek i synów Aleksicia, a potem dla wnuków i prawnuków, jak które przychodziło na świat, Zuja zawsze była pod ręką, wyrozumiała i niezbędna obok rodzonej matki, niekiedy nawet od niej droższa i

[23] Kasaba (tur.) – małe miasteczko, miejscina. (Przyp. tłum).

bliższa. Wszyscy o tym wiedzą i tylko z nią wyobrażają sobie życie: Z Żują odkrywa się świat, z nią bawi się i choruje, płacze i śpiewa. Żuję się je wraz z chlebem, jak bryndzę i miód; z nią wita się pory roku i święta, z radością zrywa wczesne czereśnie i rozcina arbuzy albo wygląda pierwszego śniegu; wrywa się pierwsze zęby; jej powierza się drobne przewiny, przykrości albo radości.

Dawno już zapomnieli wszyscy, kiedy i jak przyszła do Aleksyciów, nikt też nie pyta, czym jest ona dla nich, a oni dla niej. Zuja. Zawsze na podorędziu, dla nikogo ciężarem, a dla wszystkich pożyteczna. W tym osiedlu znajduje się wszędzie, gdzie są Aleksyciowie i ich maleństwa ze wszystkimi swoimi potrzebami.

Właściwie są to trzy domy, postawione w ciągu pół wieku, połączone i zwarte, jakby się zderzyły w tym wąwozie. Przebudowywane i dobudowywane z biegiem czasu przerzuciły mosty, ujarzmiły wody i zbudowały jazy pod sobą. A Zuja obsługuje trzy domy i to tak, że wszystkim wydaje się, iż jest dobrym duchem, w każdej chwili obecna w każdym z nich i każdemu do usług gotowa. Dla niej jest to jedyne życie i cały świat. Umie mówić tylko o rodzie Aleksyciów, ich dzieciach i o tym, co się z nimi łączy. Zestarzała się, a nigdy nikt nie słyszał, by powiedziała choć słowo o sobie albo poprosiła o coś dla siebie. Nie docierają do niej czcze rozmowy i babskie gadania, a jak tylko zostanie sama przy jakiejś pracy, zaczyna szeptać, mamrotać i nucić pod nosem, co nie jest ani mową, ani śpiewem; to jej szczerbate pomrukiwanie najbardziej jeszcze przypominało monotonne granie świerszcza za kominem. Dzieci napawało lękiem i pociągało dziwne nucenie Zuji; myśmy często, opanowując lęk i tłumiąc śmiech, zakradali się, żeby podsłuchiwać, jak Zuja „śpiewa” albo mówi sama do siebie.

Taką ją znają i pamiętają nie tylko wszyscy domownicy, lecz też i my, którzy jako uczniowie przychodziliśmy z miasta pobawić się z kolegami,

wnukami Aleksicia, i przynajmniej czasem okiem rzucić na ich śliczne wnuczki, nasze rówieśnice.

Ponad pięćdziesiąt lat spędziła Zuja w cienistym wąwozie nad wodą, w milczącej i oddanej służbie u Aleksyciów. Pochowała swoich pierwszych gospodarzy, pana Manojla i jego żonę, i dalej służyła.

Tutaj po wielu latach, pielęgnując ich prawnuków, doczekała się śmierci. Usnęła któreś nocy w swojej izdebce i następnego dnia nie stawiała się do roboty. Wykraśla się życiu i z grona rodziny niepostrzeżenie, niedosłyszalnie, tak jak weszła do niego. Aleksyciowie nie mogli się nadziwić, tak trudno było wyobrazić sobie dalsze życie bez Zuji.

W tak zamożnych i bogatych rodzinach nie wspomina się najbliższych i najdroższych zmarłych, zwłaszcza w obecności ludzi spoza rodziny. Zdaje się, że ich opłakują gwałtownie, ciężką i kosztowną żałobą raz na zawsze. Nie zapominają o nich – żadną miarą – ale jakby zabalsamowanych grzebią na dnie swojego cichego porozumienia, nie naruszając milczenia. Ten sam zaszczyt okazano Zuji.

Zresztą po śmierci Zuji, a nawet już u schyłku jej życia zaszły zmiany w losach Aleksyciów. Ich gwałtowny rozwój zaczął słabnąć, a rozmnażanie było powolniejsze. To nieduży ród, który się wzbogacił, obrósł w pierze i pewnie dlatego zaczął podupadać. Młodzieńcy, a także dziewczęta, szli w świat i rzadko kto z nich wracał do tych domów w jazach Aleksyciów, coraz mniej było też tych, co tutaj zostawali, by żyć, pracować i dorabiać się wzorem przodków. A potem przyszły wojny, małe i wielkie, wraz z nimi rzezie, które właściwie w tych stronach były najokrutniejsze i najbardziej krwawe. Ludzie się przeredzili i wywędrowali. Tak więc dzisiaj znajdziesz Aleksyciów w Bośni i całej Jugosławii, a także gdzieś dalej w świecie, ale w kasabie już nie ma żadnego z nich. A po ostatniej wojnie nie ma też owych domów ani zabudowań nad wodą. Teraz jest to kupa zgliszcz i wypalonych ruder pośród rozwalonych jazów, które

z wolna zamieniają się w moczary. To wszystko, czym kiedyś byli Aleksiciowie i co zwało się ich własnością, trwa jeszcze w niepewnym wspomnieniu niektórych najstarszych mieszkańców kasaby. A wraz z nimi Zuja, ich domownik.

Dzisiejszego popołudnia niespodziewanie i bez wyraźnego powodu zjawiała się w moim ogrodzie żwawa i niezmieniona, taka, jaka była w czasach mojego dzieciństwa. Gdy ujrzałem ją w furtce, z okazałym zawiniątkiem, przypomniała mi dawne staruszki, które gdy szły do kogoś w odwiedzinę, wybierały się od razu na kilka dni. Do domu weszła też tak naturalnie i spokojnie, jakby miała tu niewątpliwie zostać i na kolacji, i na nocleg.

Długo siedzieliśmy i gawędziliśmy o Aleksiciach. Ona znała losy i życie każdego w najdrobniejszych szczegółach. Począwszy od starego Manojla Aleksicia, „baby”^[24], wyjątkowego człowieka, który wyróżniał się z szarej masy mieszkańców kasaby, był czarny, małowówny, korzeń, z którego wyrosli Aleksiciowie i wszystko, co było ich, aż po prawnuków, którzy rozproszyli się po świecie i przepadli bez wieści. W rozmowie tej próbowałem kilka razy wydobyć z Zuji coś o niej samej, o jej własnych kolejach życia i pochodzeniu, ale daremnie. Ona potrafiła mówić tylko o Aleksiciach i ich środowisku, do którego zaliczała wszystko,, co miało jakikolwiek związek z nimi, ich krewnych i przyjaciół, współników i dzierzawców, rywali i wrogów – cały znany jej świat.

Już ściemniało się w pokoju, a Zuji nie zamykały się usta. Zmęczony zadawaniem nowych pytań, domyśliłem się, że istotnie nie umie lub nie chce nic powiedzieć o sobie. Jakiś czas trwaliśmy w milczeniu. Wówczas w owej przedwieczornej ciszy najpierw ogródkowo i niejasno, potem coraz lepiej i wyraźniej zacząłem rozumieć znane pomrukiwanie, z

[24] Baba (tur.) – ojciec. (Przyp. tłum.)

którego niegdyś będąc dzieckiem wyśmiewaliśmy się jako z śmiesznego baby Zuji przyzwyczajenia i niewinnej słabostki. Zmrok coraz bardziej gęstniał, a ja wytężyłem słuch, by złowić monotonną, natrętną melodię, którą Zuja powtarzała jak świerszcz za kominem. Teraz miałem wrażenie, że to wszystko, co dawniej było jakby mechaniczną grą starczych warg, coraz bardziej zbliżone do ludzkiej mowy, nie jest pozbawione sensu i oznajmia mi coś nowego, nieznanego. Słuchałem z zapartym tchem, zapomniawszy o sobie, czasie i miejscu, w którym się znajduję.

Było to dawno, kiedy Serbia rozpoczęła wojnę z Turkami i kiedy niepokój zapanował na granicy, która przebiegała tu powyżej kasaby. Niemal na samej granicy stał dom ojca Zuji. Matkę ledwo sobie przypomina jako jasnowłosą, wysoką, szczupłą kobietę, natomiast ojca pamięta doskonale. Był czarnym, niskim, twardym mężczyzną. Zona wcześniej zmarła, on zaś został sam z dwojgiem maleństw. Znalazła się jakaś starsza krewna, wdowa, która prowadziła mu dom i wychowywała dzieci, ale chyba tuż przed wojną zmarła na jakąś zarazę. Znowu został sam z piętnastoletnim synem i czternastoletnią córką, którą pieściotliwie nazywał Żują – Wilgą, Zda się nieprzeparcie pociągała go wojna i powstanie. W końcu postanowił zabrać syna ze sobą, a córkę umieścić w jakimś dobrym, solidnym domu.

Manojlo Aleksić, zwany z turecka „baba”, zaczynający się dorabiać gospodarz, mężczyzna w sile wieku, miał chorowitą żonę i troje jeszcze drobnych dzieci. Pierwszy z ich domów, nad górską rzeką, właśnie został wykończony. Do tego domu przyprowadził ojciec Zuji swoją córeczkę, przekazał panu Manojlowi i zaklinał na Boga i świętego Jana, żeby przyjął na służbę, żywił i bronił, bo on nie ma komu jej zostawić. A potem bez pożegnania tejże nocy wyruszył stromą drogą ze splekanej, czerwonej ziemi i zniknął w kryjącym szczyty gór, ciemnym borze.

Żuję dzieci Aleksicia nazywały pieściotliwie Żują – Frygą. Włosy

miała jasne i białą cerę, była szczupła, ale silna. Jej jasne, twarde włosy, krótko obcięte jak u chłopaka, sterczały na wszystkie strony, jakby nie znały grzebienia. Ledwo ją nakłonili, żeby zrzuciła znoszoną wiejską spódnicę i serdaczek i włożyła podniszczoną suknię swojej pani, miejskiego kroju, której nie trzeba było przerabiać, bo tak dziewczynka wyrosła, żona pana Manojla zaś była chuda i niska. Zuja pomagała w pracach domowych, ale w milczeniu, z ponurą miną, unikając spotkań i rozmów i spuszczać oczy przed każdym.

Jeżeli zdarzyło się, że przez chwilę zostawała bez zajęcia i nadzoru, wychodziła gdzieś z domu i przepadała za wysokimi stosami” jodłowego budulca. Tutaj rozwidła się górską rzeka, a jej obudowana odnoga tworzy potężny jaz, nieco dalej skręca do tartaku w dolinie. W tym miejscu znajduje się duża zapora wodna, nad nią krótki, przekrzywiony mostek, po którym przechodzi się na ową stromą, zawsze suchą drogę wiodącą w góry. Ukryta przed cudzymi oczyma, przechylona przez balustradę, lubiła wpatrywać się w szeroki, deskami wyłożony jaz pod sobą i płytką wodę, która tu zamknięta skręca i z szumem spada w dół. Tutaj przebywała, ile się dało. I to była jedyna rzecz, którą mieli jej do zarzucenia Aleksiciowie. Upominali ją, żeby nie wychodziła, nie oddalała się i nie kryła po kątach, bo czasy niepewne, a miejsce dziewczyny bardziej niż kiedykolwiek w domu. Ulegała im bez słów i pozornie, ale przy najbliższej okazji znowu znikła i szła, by oparta na balustradzie drewnianego mostku wpatrywać się w ciemną wodę wielkiego jazu, patrzeć, jak się rozlewa, zmniejsza i zwija niby rozciągnięte płótno na krosnach, zanim z hukiem stoczy się w dół. Śledziła niespokojnie esy floresy i grę, światła i cieni na tym płótnie i nigdy nie mogła się napatrzeć do woli. Przy tym otwierając usta nuciła coś sobie, co nie było ani piosenką, ani zrozumiałą ludzką mową, a co zresztą zagłuszał huk wody.

Gdy okazało się, że wymówki i karcenie nie pomagają, zagrozili jej, że

ją wybiją różgą, jeżeli złapią tak daleko od domu. Mimo to wymykała się na mostek. Pewnego razu wymknęła się tuż przed zmrokiem i przechylona przez balustradę trwała tak zachwycona szumem rzeki i szybką zmianą coraz to nowych obrazów, przepływających wraz z wodą. Przeniknęła ją wilgotny ziąb i pojawiły się pierwsze cienie. Słońce zachodziło tworząc postrzępiony pas pomarańczowego blasku za gęstą siecią czarnych smreków na szczycie gór. Zuja czuła, że należy czym prędzej opuścić to wszystko i wrócić do domu, mówiła to sobie w duchu i powtarzała półgłosem, ale nie mogła oderwać się od tej gładkiej, ciepłej belki, która ją przyciskała i pieściła jej piersi, ani rozstać się z tą chwilą i tym miejscem, wyrzec się swojego jedyne wielkiego pragnienia: zobaczyć, co będzie dalej, co potem następuje.

A to nastąpiło. Ową stromą drogą ze splekanej czerwonej ziemi, która z góry, spod lasu spuszcza się prosto na most.

Wodziła oczyma po wodzie i niebie, patrzyła na ostatnie gasnące na nim blaski. Całkiem z lewej strony, w kącie jej pola widzenia nagle pojawił się nieduży cień jak muszka, krążąca w lecie, której raczej się domyślamy, niż ją widzimy. Cień się zbliżał i szybko zmieniał w niewyraźny zarys zstępującego w dół tęgiego mężczyzny w szerokiej burce. W pewnej chwili zniknął jej z widoku, bo skręcił w przełęcz, ale dziewczyna czuła, że niewidoczny człowiek wolnym krokiem coraz bardziej się zbliża i że ta czerwona droga, która coraz szybciej ciemniała, sama doprowadzi go na mostek. Wtedy będzie musiał przejść za jej plecami; mostek zaś jest tak wąski, że nieznany wędrowiec przechodząc musi jej dotknąć swoją osobliwego kroju i nieokreślonego koloru burką. Już czuje to dotknięcie i drży przed nim. Zdążyłaby jeszcze zbiec z mostku i uniknąć tego, ale nie rusza się z miejsca. Mogłaby się odwrócić, żeby przynajmniej stać zwrócona twarzą ku temu, co przejdzie obok niej. A jednak trwa nieruchomo w tej pozycji: przechylona przez balustradę, wpatrzona w już

pociemniałą wodę, która z szumem wypełnia jaz i toczy się dalej.

W tej pozycji czekała na to, co nadchodziło z gór, ciemne, ciężkie i nieuniknione. Nadchodziło wolno i niepewnie; jakby nadchodziło i nie nadchodziło, jakby miało i nie miało nadejść.

„Nadchodzi” i „nadejdzie” – gdy w duchu mówiła to sobie, wokół niej nagle pociemniało i zrobiło się chłodniej. To za nią stał wędrowiec z gór, zasłaniał ją swoim ciałem i wielką szubą, wionącą górskim ziąbem. Stał bez słowa i bez widocznych ruchów, ale ona czuła, że i tak zbliża się do niej coraz bardziej, że tak samo jak ciemność i wilgoć ogarnia ją całą i coraz mocniej przyciska do balustrady. Przechylona i zwrócona ku wodzie, nie mogła dojrzeć jego twarzy, ale czuła go już wokół siebie i na sobie. Jeszcze błysnęła jej myśl, że powinna była wcześniej stąd uciec, że przynajmniej teraz powinna stawiać opór, ale już było za późno. Podbródek jego już przyciskał jej głowę, a jego twarde, lodowate dłonie ślizgały się po jej udach. Obnażone ciało jeży się z zimna wionącego od wody, ze strachu i wstydu z powodu nagości. Przykryłaby się, niewątpliwie tego chce, ale nie może. Traci oddech, ucisk jest coraz silniejszy, zwłaszcza w jednym miejscu zamienia się w ostry ból. Owe dwie ręce, które jakby urosły, ściskają ją w pasie coraz mocniej i jednocześnie łamią wzdłuż kręgosłupa i łamią ją tak, jak łamie się chleb na czworo wzdłuż i w poprzek. Co z nią wyrabia i czego chce od niej? Zastanawia się w bezsilnej nienawiści i połyka łyzy, obfite i gorzkie. Cóż to za straszliwa siła chce ją złamać wpół, rozerwać i rozszarpać na sztuki. Na pewno to robi, jeżeli dalej będzie ją tak zginał i przyciskał. Tak pewnie zabijają człowieka. I któż to może znieść? Jak i czym się bronić? Gdybyż mogła chociaż na chwilę oderwać się od balustrady, wymknąć spod niewidocznego mężczyzny i odepchnąć ciosem albo przynajmniej krzykiem, ale już nic nie może uczynić. Ból i ciężar jest w niej i na niej. Nie sposób temu się oprzeć ani nie ulec. To już koniec. Czuje, jak traci przytomność i jak pogrąża się w pomroce.

Już noc nadchodziła, gdy zatroskani domownicy wezwali chłopaków z tartaku i posłali ich z zapalonymi łuczywami na poszukiwanie Zuji. Nawoływali, oświetlali kąty, gdzie już było ciemno, aż pierwszy, który stanął na mostku, natknął się na nieprzytomną dziewczynę i głuchym głosem przywołał pozostałych.

Leżała pod balustradą, skulona, spłaszczona, jakaś mała, niby kupka podartych szmatek. Podnieśli ją i na macie znieśli w dół, do domu.

Kilka dni nie odyskiwała przytomności. Nawet gromnicę jej zapalili. A jednak została przy życiu. Wezwali popa Jocę, aby odprawił nad nią modły za konających. Najbardziej jednak pomogła jej chyba staruszka z Dobrunu swoimi ziołami. Zuja przeleżała pięć tygodni. Aż pewnego dnia wstała, ubrała się i bez pytań i wyjaśnień zaczęła uwijać się po domu jak fryga i robić to wszystko, co do końca swojego życia robiła.

Długo jeszcze wsłuchiwałem się w nieme słowa Zuji. Opowiadała o latach swojej służby, czyli tylko o Aleksicach i ich życiu rodzinnym, o tym, jak przychodzili na świat, rośli, żenili się i sami wydawali na świat dzieci, chorowali i umierali. Pamiętała wszystko w najdrobniejszych szczegółach i było to dla niej najważniejsze, chciała więc, żebym ja też wiedział wszystko o każdym z nich.

Monotonne słowa zaczęły mnie nużyć, usypiać, ale nie śmiałem ani nie miałem siły jej przerwać.

Chwilami traciłem wątek owej długiej opowieści o Aleksiciach, imiona ich plątały mi się z imionami ich krewnych i przyjaciół. Oczy mi się kleiły i ogarniała mnie coraz większa senność. Wreszcie dałem za wygraną i zmorzył mnie sen.

Coś stuknęło, ocknąłem się. Drgnąłem, jakby przyłapany na gorącym uczynku, i uniosłem głowę z prawej ręki, która mi ścierpła.

W pokoju panowały ciemności i głęboka cisza. Zmieszany, niemal przerażony, ledwo znalazłem wyłącznik, a gdy światło zalało pokój,

przekonałem się, że nie ma tu nikogo prócz mnie. Nie ma Zuji ani jej węzełka.

Odkąd mieszkam w tym domu, przywykłem do gości, którzy niespodziewanie się zjawiają, dziwnie się zachowują, a potem jak widma znikają, ale ta kobieta zarówno swoimi odwiedzinami, jak, i to jeszcze bardziej, swoim zniknięciem wprawiła mnie w takie zakłopotanie, że długo jeszcze stałem bez ruchu pośrodku pokoju mrużąc oczy oślepiiony jaskrawym światłem. Potrzebowałem sporo czasu, żeby przyjść do siebie i wrócić do swojego rzeczywistego wieczoru, wieczornych przyzwyczajzeń i zajęć.